

JACEK PIEKARA

CZARNE PŁASZCZE TAŃCZA



A wybrani maja u swego boku Anioła jako Opiekuna i Stróża, by prowadził ich do życia.
Św Bazyli

Z wielkiego wiklinowego kosza wysypali przed nami na podłogę odcięte głowy. Policzyłem dokładnie. Osiem. A więc tyle, ile być powinno.

- No to wilkołaki mamy z głowy - stwierdził siedzący obok mnie Thaddeus Wagner i spojrzał kątem oka, czy doceniłem celny, uroczy żarcik.

Trącił szpicem buta jeden z łbów, ten odtoczył się i stuknął w następny. Splątały się skołtunionymi, zakrwawionymi brodami.

- Dobra robota - Wagner pochwalił ludzi, którzy przynieśli kosz, i dał im znak, że mogą odejść.

- Patrz no, jaka ślicznotka - powiedział już do mnie, wskazując głowę młodej kobiety o długich jasnych włosach, teraz utaplanych w brudnej czerwieni. - Że też nie miała nic innego do roboty...

- Ludzie są szaleni - westchnąłem. - Im dłużej żyję, im więcej widzę, tym mocniej jestem o tym przekonany.

Siedmiu mężczyzn i dziewczyna, której uroda spodobała się Wagnerowi, należeli do bandy wilkołaków terroryzujących okolicę. Przebierali się w zwierzęce skóry i napadali podróżnych lub wieśniaków, w walce posługując się zębami oraz pazurami. Ponieważ zwykle mieli przewagę co najmniej jak cztery do jednego, a za ofiary wybierali najczęściej starców, kobiety lub dzieci, więc udało im się zabić kilkanaście osób, zanim nie zostali pochyceni, powieszani, a potem ścięci. Ich bezgłowe truchła kazaliśmy ułożyć na rynku, by stanowiły ostrzeżenie dla innych osobników złąknionych przygód. Głowy zostaną zaś nabite na włócznie i ozdobią miejskie rogatki. Również ku przestrodze.

W zasadzie to nie my, inkwizytorzy, powinniśmy zajmować się tymi przebierańcami, ale miejscowa ludność była tak przerażona (wmówili sobie, że wilkołaki są odporne na jakąkolwiek broń stworzoną rękami człowieka, i chodzili uzbrojeni w butelki z wodą święconą), iż musieliśmy sami zabrać się do roboty. W ten oto sposób miasteczko Kobritz zostało wybawione od wilkołaczej plagi, a ja i Wagner mogliśmy spokojnie wrócić do siedziby Inkwizytorium w Ravensburgu, gdzie oprócz nas przebywało jeszcze na stałe dwóch innych inkwizytorów, mających pod opieką cały okręg.

- No to wystawiamy rachunek burmistrzowi i do domu - zdecydował Wagner. Jego z gruba ciosana, kwadratowa twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Amen - mruknąłem.

Wyśledzenie bandy zajęło nam blisko dwa tygodnie. A wierzcie mi, mili moi, że nie była to praca godna inkwizytorskich zdolności oraz poświęcenia czasu przez funkcjonariuszy Świętego Officjum. Jediną korzyścią z całego zamieszania było to, iż burmistrz będzie musiał obficie zaczerpnąć z miejskiej kasy, by wynagrodzić nasz trud. Tak uzgodnił z nim Heinrich Pommel, przełożony i starszy ravenburskiego Inkwizytorium. Człowiek, który nawet własnej matce wystawiłby rachunek za to, że go urodziła. Skłamałbym jednak, mówiąc, że nie ceniliśmy go za te zdolności. Inkwizytorskie pensje nie należały do najwyższych, a dzięki inicjatywie oraz aktywności Pommla od czasu do czasu w sakiewce waszego unizonego sługi pojawiały się dodatkowe monety. Oczywiście sam Pommel wychodził na tym najlepiej, ale nie zamierzaliśmy się z nim sprzeczać. Po pierwsze, inkwizytorzy są przywiązani do hierarchii służbowej (według idealnych zasad powinno to działać w obie strony), a po drugie, stara kupiecka zasada mówiła, że lepiej mieć dziesięć procent od stu dukatów niż zero procent od tysiąca. I w związku z tym biedny Mordimer był zachwycony, że czasem może sobie pozwolić na coś więcej niż tylko sucha bułka zapita kubeczkim wody.

Przy całej swej przedsiębiorczości, zaradności i cynizmie Heinrich Pommel był niemal idealnym przełożonym. Dlaczego? Ano dlatego, że cieszył się z sukcesów podwładnych, szczerze życząc, byśmy zdobyli największy zaszczyt, jaki może spotkać inkwizytora, czyli otrzymali licencję Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu lub licencję Stolicy Apostolskiej. On sam dawno temu mógł już opuścić Ravensburg i pracować w Hez-hezronie pod okiem samego biskupa, lecz wołał prowincjonalny spokój od wiecznej gorączki i wiecznego bałaganu panujących w wielkiej metropolii. Rozumiałem go i jednocześnie żałowałem, że wygody życia codziennego przygasiły w nim żar, który powinien płonąć w sercu każdego inkwizytora. Przecież miejsce czarnych płaszczy, jak nas czasem nazywano, było tam, gdzie panuje najwięcej zła i nieprawości. A takimi miejscami były właśnie Stolica Apostolska, Hez-hezron czy Engelstatd, stolica naszego potężnego Cesarstwa. To tam kwitły herezje, tam kacerze obmyślali swe obmierźłe plany, tam w sekretnych pracowniach czarnoksiężnicy wzywali demony, a uczeni studiowali tajniki mrocznej magii.

- Może na koniec wyprawimy jakąś kolację? - spytał Wagner. - Dużo wińska, dużo żarła, dziwki,

muzykanci... Co ty na to, Mordimerze?

- Jeśli rada miejska zapłaci... - Oderwałem się od pobożnych myśli.

- Zapłaci, zapłaci. - Uśmiechnął się. - Przecież nie wiedzą, czy za miesiąc lub rok nie będą znowu potrzebować naszej pomocy. A wtedy nie chcieliby chyba, aby zapamiętano, że wyjechaliśmy z Kobritz zgłodniali i spragnieni.

- Święta racja, Thaddeusie - przytaknąłem.

* * *

Mieszczanie byli nam szczerze wdzięczni za rozprawienie się z bandą wilkołaków, więc wydali kolację może nie wystawną, ale co najmniej przyzwoitą. Przy długich stołach, ustawionych w kształcie podkowy i nakrytych śnieżnobiałymi obrusami, zasiedli ojcowie miasta, miejscowy proboszcz, aptekarz, kilku bogatszych kupców. Niektórzy przyszedli z żonami, inni z córkami,

zauważyłem też cztery młode i całkiem ładne kobiety, które nijak na żony lub córki nie wyglądały. Trudno też było nie dostrzec, że żony mieszczan spoglądały w ich stronę wzrokiem co najmniej niechętnym. Widać nie były przyzwyczajone do obecności dziwek przy biesiadnym stole.

- Widziałeś? - Mrugnąłem w stronę Wagnera.

- Cztery - mlasnął. - Dostrzegłem w postępowaniu tych zacnych ludzi chwalebą przezorność. Wystarczą nam cztery, Mordimerze? - Spojrzał na mnie z żartobliwym zaniepokojeniem.

- Jeśli weźmiesz jedną, postaram się nie nadwerężyć sił trzech pozostałych - odparłem.

Burmistrz wstał z krzesła i zastukał nożem w dzbanek. Rozmowy powoli ucichły.

- Najdrożsi mistrzowie Inkwizytorium - zaczął, kłaniając się nam, a jego pucułowata twarz rozpromieniła się szczerym uśmiechem - dziękuję Panu Bogu Wszechmogącemu, że zesłał właśnie was biednemu miastu Kobritz, którego mieszkańcy cierpieli straszliwe katusze z rąk bandy złoczyńców podających się za wilkołaki...

Parsknął króciuteńkim śmieszkiem, jakby słowo „wilkołaki” go bawiło. A pamiętam, że kiedy przyjechaliśmy, sam paradował z butelką wody święconej w kieszeni!

- Ile łez przelaliśmy, ile modlitw zanieśliśmy pod niebiańskie ołtarze, ile tygodni żyliśmy w bojaźni przed zbrodniarzami! A strach, który targał naszymi sercami, zniknął dzięki wam, najdrożsi mistrzowie Inkwizytorium.

- Jeszcze raz powtórz „najdrożsi mistrzowie”, a podwoję im rachunek - tchnął mi Wagner prosto w ucho.

- Dlatego też wiedzcie, że zachowamy was we wdzięcznej pamięci. Matki w Kobritz nie będą już więcej lękać się o dzieci, mężowie o żony, synowie o ojców...

- Siostrzenice o wujów, wnukowie o dziadów... - zaszeptał Wagner.

- Jak długo będzie istnieć Kobritz, tak długo przetrwa w nim sława ludzi wielkiego serca i wielkiej odwagi. Mistrza Thaddeusa Wagnera i mistrza Mordimera Madderdina! - Burmistrz wznosił puchar w naszą stronę.

Wstaliśmy, a Thaddeus trącił mnie w bok, żebym to ja odpowiedział na miłą przemowę wygłoszoną przez ojca miasta.

- Szanowny burmistrzu i wy, zacni obywatele Kobritz - zacząłem - powinnością inkwizytora jest służyć. W pierwszej kolejności służyć Bogu, w drugiej wiernym owieczkom Pańskim. Wszak Pismo mówi wyraźnie: Religijność czysta i bez skazy wobec Boga Ojca wyraża się w opiece nad sierotami i wdowami w ich utrapieniach. Wiedzcie, że miłość Pana jest niezmierna. To on podtrzymuje wszystkich, którzy padają, i podnosi wszystkich zgwałconych. Nas, inkwizytorów, wykorzystał jedynie jako użyteczne narzędzia w swej woli obdarowania spokojem miasta Kobritz - przerwałem na moment, by zaczerpnąć tchu, gdyż byłem nieprzyzwyczajony do długich, uroczystych przemówień. - Dlatego też nie zawstydzajcie nas podziękowaniami...

- Ależ, ależ! - zaprotestował głośno burmistrz. Uniosłem dłoń na znak, że jeszcze nie skończyłem.

- Nie zawstydzajcie nas podziękowaniami - powtórzyłem. - Inkwizytorzy są ludźmi cichymi i pokornego serca. Dziękujcie Bogu w niebiosach, który użył nas w taki sam sposób, jak rolnik używa sierpa, by zebrać szczęśny plon.

Usiadłem, a wtedy wszyscy obecni wstali i zaczęli bić brawo. Podniosłem się więc z powrotem. Wagner oklaskiwał mnie z nieco złośliwym uśmiechem.

- Skromność równa tylko wielkiej odwadze i wielkiemu sercu! - zawołał burmistrz z patosem,

przekrzykując owacje.

- Za Kobritz! - Uniosłem kielich, bo chciałem się wreszcie napić, a nie wymieniać grzecznymi uwagami oraz szermować przemowami.

- Za Kobritz, za Kobritz - podjęli wszyscy, a potem również: za inkwizytorów, za Officjum...

Było to naprawdę miłe, gdyż, wierzcie, rzadko się zdarza, by tak szczerze i radośnie pito zdrowie inkwizytorów. My, funkcjonariusze Świętego Officjum, jesteśmy ludźmi na tyle doświadczonymi, by nie spodziewać się, iż wszyscy będą nas kochać i rozumieć. Lecz czasami nawet w naszych strapionych sercach rodzi się tęsknota za tym, by ci, którym dajemy tyle miłości, odpowiedzieli podobnym uczuciem. Niestety, zwykle rodziny heretyków lub czarownic potrafiły jawnie lub skrycie przeklinać inkwizytorów. Zamiast radować się, że święte płomienie stosu oczyszczą grzeszne dusze ich bliskich, a dojmująca męka, jakiej zaznają, pozwoli im po wiekach spędzonych w czyścicu ujrzeć wreszcie pełne chwały oblicze Pana. A bez naszej miłości i pomocy byłiby wszak potępieni na wieki! Niestety, ludzie zazwyczaj nie rozumieli, że złem nie jest chirurg, lecz zgniła tkanka, którą tenże chirurg wycina lancetem.

* * *

Mężczyzna, który podszedł do mnie, miał siwe, rzadkie włosy, krogulczy nos i małe, blisko osadzone oczy. Ubrany w czarny kaftan z bufiastymi rękawami, przypominał starego, zafrasowanego ptaka, który zaraz zacznie iskać sobie skrzydła. Ale bystremu spojrzeniu waszego unizonego sługi nie mogło umknąć, iż na palcach tego człowieka pyszniły się pierścienie z oczkami szlachetnych kamieni, a aksamitny, wyszywany złotem kubrak musiał być wart przynajmniej tyle co niezła szkapa.

- Mistrzu Madderdin, pozwolicie na słówko? - Spodziewałem się głosu skrzeczącego lub piskliwego, bo taki pasowałby do jego fizys, tymczasem mężczyzna miał głos spokojny, niski, o miłym brzmieniu.

- Służę wam najuprzejmiej - odparłem, wstając od stołu.

Wagner z dwoma rajcami wyśpiewywali właśnie piosnkę autorstwa niezrównanego trubadura Piedra Usta ze Złota. Jak zwykle była ona co najmniej mało przyzwoita i obecne w komnacie damy udawały, że niczego nie słyszą. Co nie było łatwe, zważywszy na to, jak Wagner głośno wywrzaskiwał poszczególne zwrotki. W każdym razie na tyle był zajęty śpiewaniem, że nie zauważył nawet, iż odchodzę. Przystanęliśmy w przedsionku.

- Nazywam się Mathias Klingbeil, panie Madderdin, i jestem kupcem bławatnym z Regenwalde... - zaczął mój nowy znajomy.

- Dzień drogi od Ravensburga, nieprawdaż? - przerwałem mu.

- Może półtora - mruknął.

- Czym wam mogę służyć?

- *A płeć miała jak śnieg biały, drżała, gdy ją częstowali pałą* - śpiew Wagnera przebił się przez hałas i miałem wrażenie, że autorem tej piosenki nie był już Piedro.

Jednak nie usłyszeliśmy dalszego ciągu. Zerknąłem przez drzwi i zobaczyłem, że mój konfrater w chwili słabości jakże uprzejmie wstał od stołu (by nie peszyć zebranych), lecz, niestety, siły go zawiodły i złożył przetrawioną wieczerzę oraz przetrawiony napitek na kolana pewnej zacnej matrony, żony miejskiego rajcy. Potem rzygnął raz jeszcze, tym razem obryzgując ramię i głowę samego rajcy, aż wreszcie zawołał radośnie:

- Jak tam było dalej? Odwróciłem się.

- Wybaczcie, proszę - zwróciłem się w stronę mego rozmówcy. - Kontynuujcie, jeśli łaska.

- Mój syn - westchnął, jakby samo słowo „syn” napełniało go goryczą - dwa lata temu został skazany i uwięziony za zabójstwo pewnej dziewczyny. Przyrodniej siostry jednego z rajców, człowieka bogatego, zawziętego, mającego wielkie wpływy i od lat nienawidzącego mojej familii. Bóg obdarzył mnie zdolnościami handlowymi, ale pomimo że mam pieniądze, nic nie mogę uczynić, by go ratować... A wierzcie mi: próbowałem.

- Ano tak, złoty klucz nie otwiera wszystkich bram - rzekłem. - Zwłaszcza takich, które zamknięto kłódką ludzkiego gniewu.

- Dobrze powiedziane - zgodził się. - Mój syn jest niewinny. Nie wierzę, by mógł skrzywdzić tę dziewczynę. Jedyne, co mi się udało, to ocalić go od stryczka. Tyle że dziesięciu lat w dolnej wieży nikt nie przetrzyma.

Rodziny nigdy nie wierzą w zbrodnie popełnione przez swych bliskich. Tak było, jest i będzie. Mathias Klingbeil nie był w tym wypadku wyjątkiem, a to, że w jego głosie słyszałem żarliwą pewnością

siebie, niczego nie zmieniało. Miał jednak niewątpliwie rację co do kary w dolnej wieży. Nikt nie przetrzyma dziesięciu lat w niej spędzonych. Choroby, brud, zimno, wilgoć, głód i samotność żrą gorzej od szcurów. Widziałem wielkich, silnych, młodych mężczyzn, którzy po roku czy dwóch spędzonych w dolnej wieży wychodzili za bramy więzienia jako skurczeni, pokoślawieni starcy.

- Wielce wam współczuję, panie Klingbeil, lecz raczcie mi wyjaśnić, dlaczego właśnie do mnie zwracacie się z tym problemem? - zapytałem. - Officjum nie zajmuje się zbrodniami kryminalnymi, jeśli w grę nie wchodzi przestępstwa związane z atakiem na naszą świętą wiarę. A w tym wypadku przecież nie ma o tym mowy.

- Wiem - rzekł. - Lecz czy nie moglibyście przyjrzeć się sprawie? Jesteście człowiekiem uczonym, potraficie odsiać ziarno prawdy od plew kłamstwa...

Nie wiedziałem, czy stara się mnie zjednać, czy naprawdę tak uważa. Jednak faktycznie było, jak mówił. Inkwizytorów kształcono w trudnej sztuce badania ludzkich serc i umysłów, co w większości przypadków pozwalało na nieomyślne rozpoznanie prawdy.

- Panie Klingbeil, rady miejskie i sądy niechętnie patrzą, kiedy Inkwizytorium interesuje się sprawami, które nie powinny go obchodzić. A i moi przełożeni nie byliby pewnie zachwyceni, że zamiast ścigać kacerzy, heretyków i czarownice, zajmuję się zwykłym morderstwem.

Święte Officjum nie przejmowało się gniewem, niechęcią czy utyskiwaniami nawet bogatych, ustosunkowanych mieszczan (znacznie bardziej musieliśmy się liczyć ze szlachtą, zwłaszcza tą pochodzącą z wysokich rodów), lecz zupełnie inna była sytuacja oficjalnego wysłannika Inkwizytorium, a inna inkwizytora usiłującego wtykać nos w nie swoje sprawy i zajmującego się prywatnym dochodzeniem. Sytuacja zmieniała się diametralnie, gdy inkwizytor trafiał na wyraźne ślady uprawiania czarów lub herezji. Wtedy mógł objąć władzę nad miastem w imieniu Świętej Inkwizycji. Jeśli jednak uczynił to pochopnie, nieroztropnie lub z niskich pobudek, mógł być pewien, że zostanie ze swego postępowania dokładnie rozliczony.

- Sporo zapłacę, panie Madderdin. - Klingbeil obniżył głos, chociaż w biesiadnej komnacie śpiewano tak głośno, że nikt nie byłby w stanie nas usłyszeć. - Tylko raczcie zająć się sprawą.

- Sporo? Czyli?

- Sto koron zaliczki - rzekł. - A jeżeli wyciągnięcie mojego syna z więzienia, dołożę tysiąc. No, niech będzie: półtora tysiąca.

To była iście królewska gratyfikacja. Za półtora tysiąca koron większość obywateli naszego pięknego Cesarstwa zarznęłoby własną matkę, a w charakterze

premierii dołożyło poszatowanego ojca wraz z rodzeństwem. Lecz wysokość sumy świadczyła również o tym, że Klingbeil uważał zadanie za niezwykle trudne, a kto wie czy może nawet nie niebezpieczne.

- Dajcie mi czas do rana - powiedziałem. - Zastanowię się nad waszą szczodrobliwą propozycją.

- Jutro rano? - Wzruszył ramionami. - Jutro rano pójdę z tym do waszego przyjaciela. - Wskazał głową wejście do sali, w której Wagner wybijał właśnie rytm na blacie stołu wielką, do połowy ogryzioną kością.

- Dacie dwieście zaliczki, kiedy zjawię się w Regenwalde - zdecydowałem, bo po pierwsze, korony nie rosły na drzewach, a po drugie, lubiłem trudne wyzwania. - A jak nie, to wolna wola. - Popatrzyłem na Wagnera, który akurat w tym momencie wylądował twarzą w misce pełnej polewki.

- Przybite, mistrzu Madderdin. - Wyciągnął dłoń, a ja ją uścisnąłem.

- Aha, jak nazywa się ten wasz wróg?

- Griffo Fragenstein.

- A syn?

- Zachariasz.

- Dobrze. Teraz ustalmy jedno - rzekłem. - Nie znam was i nigdy nie gadaliśmy ze sobą. Postaram się przyjechać do Regenwalde z oficjalną misją, jeżeli tylko otrzymam zezwolenie Inkwizytorium. Wtedy mi wypłacicie zaliczkę. Jeśli nie pojawię się w ciągu tygodnia, szukajcie kogoś innego.

- Niech i tak będzie - zgodził się, po czym już bez słowa pożegnania skinął mi głową.

* * *

Nie wrócił do biesiadnej komnaty, lecz ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Była to godna pochwały przezorność, gdyż im mniej ludzi zobaczy nas razem, tym lepiej.

Uczta trwała niemal do świtu. Kiedy wracaliśmy do kwater, różowo-szary blask poranka przebijał już

przez okiennice. Pożegnałem Wagnera uśmiechem i obejmując dwie dziwki, zniknąłem za drzwiami pokoju. Nie dane mi było jednak spędzić spokojnych chwil. Obie dziewczęta właśnie uroczo się zabawiały (w trakcie tej zabawy łaskotały moje uda i podbrzusze włosami, ale jakoś zwracałem uwagę na co innego, nie na łaskotki), gdy usłyszałem krzyki dochodzące z korytarza.

- Ty kurwo przekłeta! Zabiję cię! - wrzeszczał ktoś, a ja wyraźnie rozpoznałem zniekształcony złością i pijaństwem głos Wagnera.

- Panienki, przerwa - rozkazałem. Wskoczyłem z łóżka i zarzuciłem płaszcz na gołe ciało. Otworzyłem drzwi, wyszedłem na korytarz. Zobaczyłem Thaddeusa, który pochylał się nad jedną ze swoich dziwek (leżała skulona przy ścianie) i okładał ją kułakami.

- Mnie będziesz okradać, kurwo? - darł się. - Mało ci zapłacili?

Naga dziewczyna jęczała rozpaczliwie i osłaniała twarz ramionami. Trzeba przyznać, że była zgrabniutka, a jej piersi na pewno były większe od mojej głowy. Cóż, mili moi, Thaddeus wybierał dziwki jako pierwszy,

a biedny Mordimer kontentował się jedynie tym, co mu zostało. Zresztą, jak widać, może pierwszy wybór nie był wcale taki rozsądny?

Podszedłem do nich, chcąc uspokoić Wagnera miłymi słowami (gdyż Mordimer Madderdin jest po prostu i zwyczajnie miłym człowiekiem), lecz nagle w dłoni mego towarzysza błysnęło ostrze noża. Zatrzymałem jego rękę w pół ruchu. Szybciej, niż zdążyłem pomyśleć.

- Wagner - powiedziałem łagodnym tonem - to tylko dziwka. Możesz ją wybatożyć, ale po co od razu zabijać?

- Nie twoja sprawa! - warknął i zobaczyłem, że ma oczy szalone gniewem. Rozczarowało mnie to, gdyż oczywiście był zupełnie pijany, lecz inkwizytor powinien panować nad emocjami, także w stanie alkoholowego zamroczenia.

- Kochany Thaddeusie, jeśli zabijesz tę dziwkę, to do końca nocy zostanie ci już tylko jej przyjaciółka. A ja żadnej ze swoich nie oddam. Nawet nie proś...

Spojrzał na mnie i gniew nagle zgasł w jego oczach. Zarechotał, potem klepnął mnie w ramię.

- Maszsz rasję, Mortimesze - rzekł, a dziwka, słysząc te słowa, zaszlochała z ulgą. Przyjrzał jej się ze złośliwym uśmiechem. - Sapiję ją dopiero rano - dodał, lecz wiedziałem, że teraz już tylko żartuje.

- Chyba że...? - poddałem.

- Chyba ssse będzie się bardzo starała słaogodzić mój gniefff - dokończył Wagner.

- Ano właśnie - rzekłem. - Pozwolisz teraz, że wrócę do siebie i skończę, co mi przerwałeś? A wierz mi, że przerwałeś w wielce nieodpowiedniej chwili.

Pokiwał głową i podniósł dziwkę za włosy. Jęknęła, lecz zaraz objęła go w pasie i poszli korytarzem w kierunku pokoju Thaddeusa. Wyglądali jak okręt żeglujący wśród raf. Dziewczyna podtrzymywała pijanego Wagnera, odwróciła się jednak na moment w moją stronę i zobaczyłem, że jej usta bezgłośnie składają się w słowo. W Akademii Inkwizytorium uczono nas czytania z ruchu ludzkich warg, więc zrozumiałem, co chciała przekazać. I byłem zadowolony, gdyż lubię ludzi potrafiących docenić oddane im przysługi. Nawet jeśli chodzi o stworzenie tak nędzne jak małomiasteczkowa dziwka.

Zrozumcie dobrze, mili moi, Mordimer Madderdin nie jest, nie był i nie będzie człowiekiem, który rozczulałby się z powodu śmierci byle nierządnic. Jeśli Wagner następnego dnia powiedziałyby mi: „Wiesz, Mordimerze, musiałem zabić tę kurwę, bo mnie okradła”, być może potępiłbym jedynie jego zapalczywość, nie samą decyzję. Natomiast znalazłem się w samym centrum niezręcznej sytuacji. Nie znoszę bezcelowego zadawania bólu ani bezsensownego szafowania śmiercią. W końcu nasz Pan powiedział: Coście uczynili jednemu z tych moich braci najmniejszych, mnie żeście uczynili. Nie sądzę, by uratowanie życia głupiej dziwki (trzeba być głupią, by próbować okraść inkwizytora, nawet jeśli jest pijany) zaważyło na Boskim Sądzie, gdzie wszystkie grzechy zostaną zważone i policzone. Ale pomyślałem, że nie za dobrze świadczyłoby o tak wychwalanych w Kobritz inkwizytorach, gdyby jeden z nich zostawił po sobie pamiątkę w postaci trupa zarżniętej dziewczyny. Byliśmy bohaterami tego miasteczka, mili moi, a bohaterowie nie mordują dziwek w pijackim amoku. I wierzcie mi, że tylko o to, o obronę dobrego imienia Świętego Officjum, chodziło mi w tej sprawie.

Poranna awantura znalazła zresztą finał następnego popołudnia, kiedy Thaddeus Wagner wtoczył się do mojego pokoju, gdzie już samotnie odpoczywałem po libacji oraz łóżkowych zmaganiach.

- Nie ukradła jej - wymamrotał.

- Słucham?

- Spadła mi pod łóżko, żesz nawet nie wiem kiedy -powiedział. - Sakiewka, znaczy. Pewnie jak się rozbierałem czy co... Rano znalazłem... Wiesz, Mordimerze, gdyby nie ty, zabiłbym niewinną dziewczynę!

- Mój drogi - rzekłem, zdziwiony jego skrupułami - powstrzymałem cię jedynie dlatego, iż uważałem, że dwie dziewczyny zajmą się tobą lepiej niż jedna. Gdyby jakaś kurwa sięgnęła po moje pieniądze, sam bym ją zarznął. Pomyśl tylko, przyjacielu, kogo może obchodzić życie dziwki? Wykazałeś się wielką rozważą oraz miłosierdziem, darując jej winy.

- Tak myślisz? - Spojrzał na mnie.

- Oczywiście, że tak myślę, Thaddeusie. Młody inkwizytor musi mieć wzory do naśladowania. I cieszę się, że mogłem spotkać właśnie ciebie...

Przez moment zastanawiałem się, czy nie przeholowałem. Wagner jednak łyknął komplement jak młody kormoran rybkę.

- Pochlebiasz mi, Mordimerze - rzekł, a na jego twarzy pojawił się szczery uśmiech.

- Jestem zbyt prostolinijny, by pochlebiać - westchnąłem. - Czasami myślę, że chciałbym kiedyś nauczyć się tego, co mówi poeta: *Grzeczności sobie wzajem prawią oszukańcze, co trzeba mówić prosto, wykręcają zawile...*

- Heinz Ritter? - przerwał mi.

- Znasz jego sztuki?

- Oczywiście - odparł. - *I trzępię się, parszywcy, mdlejąc jak motyle* - dopowiedział.

- *Patrzę na nich, udając, że spuszczam powieki w tłustej drzemce. I co dzień tak strugam wariata* - odparłem.

Przez chwilę bałem się, czy nie posunąłem ironii zbyt daleko. Ale nie. Thaddeus Wagner roześmiał się szczerze.

- Piłem raz z Ritterem. Swój chłop, powiem ci. Trzy

dni nie trzeźwiałem. Zostawił mnie dopiero, jak wydałem wszystkie pieniądze. - Wnioskując z tonu mego towarzysza, najwyraźniej nie miał za złe Ritterowi, że ich przyjaźń wygasła wraz ze zniknięciem ostatniego dukata. Oznaczało to, że dramaturg musiał być naprawdę zabawnym kompanem.

* * *

Heinrich Pommel uważnie wysłuchał raportu, a potem kazał nam się zabrać za przygotowanie pisemnego sprawozdania, które miało zostać wysłane do kancelarii Jego Ekscelencji biskupa Hezhezronu. Zapewne po to, by w biskupich biurach myszy miały co jeść; nie sądziłem, by ktokolwiek miał czas i ochotę zajmować się zwyczajnymi raportami lokalnych oddziałów Inkwizytorium. Nasz przełożony najbardziej jednak ucieszył się ze sporej sumki, którą otrzymaliśmy od zacnych i wdzięcznych mieszczan. Wysypał monety na stół i od razu odliczył jedną czwartą. Pchnął pieniądze w naszą stronę.

- Na zdrowie, chłopaki.

Oczywiście nie zamierzał nam wyjawiać, co zrobi z pozostałymi trzema częściami nagrody, i szczerze byśmy się zdziwili, gdyby to uczynił. Ale, jak już wzmiankowałem wcześniej, do Pommla nie można było mieć żalu. W siedzibie Inkwizytorium mieliśmy zawsze dobre jedzenie, pod dostatkiem wina, na czas wypłacane pensje oraz deputaty, a kiedy któryś z inkwizytorów wpakował się w finansowe kłopoty, Pommel ratował go nieoprocentowaną pożyczką.

Był mądrym człowiekiem i wiedział, że dla podwładnych lepiej być wymagającym, acz troskliwym ojcem, niż zabawiać się w liczykrupę, sknerę i zdziercę, którego postępowanie najpierw wzbudza niechęć, a potem prowadzi do spisków. I wcale nie mieliśmy mu za złe, że jego długoletnia kochanka właśnie skończyła budować piękny dom za miastem, a sam Pommel przez podstawionych ludzi dzierżawił kilka niewielkich majątków.

Byliśmy młodzi i uczyliśmy się od niego, wiedząc, że kiedy sami zostaniemy przełożonymi któregoś z lokalnych oddziałów Inkwizytorium, będziemy się starać postępować w sposób podobnie rozsądny.

Wagner zgarnął do sakiewki swoją część honorarium i wstał z krzesła, lecz ja się nie ruszyłem.

- Czy mogę prosić o chwilę rozmowy?

- Oczywiście, Mordimerze - odparł Heinrich.

Thaddeus z ociąganiem wyszedł z pokoju. Byłem pewien, że zżera go ciekawość, o czym zamierzam rozmawiać ze starszym Inkwizytorium.

- W czym mogę ci pomóc? - Pommel odwrócił na mnie wzrok, gdy za Wagnerem zamknęły się już drzwi.

Z Pommel nie było po co wdawać się w gierki, więc wyłuszczyłem mu szczerze, czego dowiedziałem się od kupca Klingbeila.

- Ile zaproponował?

- Dwieście zaliczki i półtora tysiąca, jeśli rzecz się powiedzie - odparłem zgodnie z prawdą.

Starszy Inkwizytorium gwizdnął leciutko.

- Czego ode mnie oczekujesz, Mordimerze?

- Wystawienia glejtu nakazującego przesłuchanie Zachariasza Klingbeila.

- W celu?

- Wyjaśnienia doniesień mówiących, iż stał się ofiarą czarów. Tak przecież zeznała dwa lata temu Hanja Snithur, nieprawdaż?

Hanja Snithur była przebiegłą i wielce szkodliwą czarownicą. Spaliliśmy ją w zeszłym roku po długotrwałych badaniach, które jednak przyniosły owocny plon. W związku z nim kojący blask stosów rozświetlił na chwilę ponurą ciemność otaczającą Ravensburg.

- Czy potwierdzają to protokoły przesłuchań?

- Potwierdzą - odparłem. Sam sporządzałem protokół (pisarz porzygał się w trakcie tortur i ktoś musiał go zastąpić), więc dopisanie jednego nazwiska więcej nie mogło mi sprawić kłopotów.

- Dlaczego zabraliśmy się za to dopiero po dwóch latach?

- Błąd pisarza.

- Hmm? - Uniósł brwi.

- Kleks zamiast nazwiska. Niedbalstwo godne potępienia. Jakże ludzka, prosta omyłka. Jednak kierując się nie tak częstym w końcu imieniem Zachariasz, doszliśmy po nitce do kłębka.

- Skoro tak... - Wzruszył ramionami. - Kiedy chcesz wyruszyć?

- Pojutrze.

- Dobrze, Mordimerze. Ale uważaj! - Spojrzał na mnie z troską. - Słyszałem o Griffie Fragensteinie i niewiele dobrego da się o nim powiedzieć.

- Brzmi jak szlacheckie nazwisko.

- Bo i jest. Griffa to bękart hrabiego Fragensteina. Dziwna sprawa: hrabia uznał go i dał mu nazwisko, cesarz jednak nie przyznał szlacheckiego tytułu. Toteż Griffa zajmuje się handlem i rządzi miejską radą w Regenwalde. Jeśli rzeczywiście nienawidzi Klingbeilów, będzie bardzo niezadowolony, iż ktoś miesza się w jego sprawy.

- Nie ośmieli się... - powiedziałem.

- Nienawiść czyni z ludzi głupców - westchnął Pommel. - Jeśli jest mądry, będzie ci sprzyjał i pomagał. Przynajmniej z pozoru. Jeśli jest głupi, spróbuje cię zastraszyć, przekupić lub zabić.

Roześmiałem się.

- *Kiedy w mieście ginie inkwizytor, czarne płaszcze ruszają do tańca* - zacytowałem znane powiedzonko, zaświadczone o naszej zawodowej solidarności.

- Nienawiść czyni z ludzi głupców, Mordimerze - powtórzył. - Nigdy nie daj się zwieść myśli, że twoi wrogowie będą rozumować tak samo logicznie jak ty. Czy wściekły szczur nie rzuci się na człowieka uzbrojonego w widły?

- Będę się pilnował. Dziękuję, Heinrichu - powiedziałem, wstając z krzesła.

Nie musieliśmy ustalać, jaki procent przypadnie Pommelowi z mojego honorarium. Wiedziałem, że weźmie tyle, ile będzie chciał, lecz wiedziałem też, iż zadba, bym nie poczuł się pokrzywdzony.

- Jutro wypiszę ci dokumenty. - Podniósł się, obszedł stół i zbliżył do mnie. Położył mi dłoń na ramieniu. - Wiem, kto rozprawił się z wilkołakami, wiem również, że Wagner niemal nie trzeźwiał przez te dwa tygodnie i nie był szczególnie pomocny.

- Ależ...

- Zamknij się, Mordimerze - rozkazał łagodnie. - Wiem też o tej dziwce...

W Akademii Inkwizytorium uczono nas wielu rzeczy. Również sztuki zwodniczej konwersacji. Pommel mógł mieć niemal pewność, że w ciągu dwóch tygodni skorzystaliśmy z usług dziwek, a dziwki plus zamiłowanie Wagnera do trunków i awantur równało się kłopotom. Dałbym sobie rękę odciąć, że Pommel strzelał na oślep, licząc, iż pozna prawdę dzięki reakcji waszego unizonego sługi. Powieka mi nawet nie drgnęła. Mój przełożony odczekał chwilę i uśmiechnął się.

- Będą z ciebie ludzie, chłopcze - rzekł serdecznym łonem. -No, idź już.

Przy samych drzwiach zatrzymał mnie jego głos:

- Ach, Mordimerze, jeszcze jedna sprawa. Czy temat oparty na cytacie: *Coście uczynili jednemu z tych moich braci najmniejszych, mnie żeście uczynili* wydaje ci się odpowiedni na nasze dzisiejsze wieczorne medytacje?

Odwrociłem się.

- Z całą pewnością odpowiedni - przyznałem, obiecując sobie, że sformułowania „dałbym sobie rękę odciąć” na przyszłość będę się starał unikać nawet w myślach. Niemniej nadal zastanawiałem się, czy Pommel strzelał w ciemno, czy też od kogoś otrzymał relację o naszych poczynaniach. Tylko jeśli tak, to od kogo?

* * *

Mieszczanom nie wolno było się odziewać w płaszcze barwione na czerwono, który to kolor był zastrzeżony dla szlachetnie urodzonych. Jednak Griffó Fragenstein ośmielał się nosić na ramionach płaszczy nie tylko połyskujący czystą purpurą, lecz haftowany również złotymi nićmi, układającymi się w kształt Trzech Wież -hrabiowskiego herbu należnego jego ojcu.

- Nazywam się Mordimer Madderdin i jestem licencjonowanym inkwizytorem z Ravensburga - przedstawiłem się.

- Miło was powitać, mistrzu - rzekł uprzejmie i zaprosił, bym usiadł. - Zechcecie zjeść ze mną śniadanie?

- Z wielką przyjemnością - odparłem. Przyglądałem mu się, kiedy instruował służbę co

do posiłku. Był wysokim, barczystym mężczyzną, a na jego rozrostłych ramionach plasowała się głowa o zdumiewającym, podłużnym kształcie, tak jakby niegdyś zmiażdżono ją w imadle. Nawet długie i bujne włosy, które opadały mu za ramiona, nie potrafiły ukryć tego

mankamentu. Niemniej Griffó Fragenstein nie sprawiał wrażenia dziwoląga mogącego budzić śmiech (później dowiedziałem się, że mieszczanie nazywali go Panem łajko, ale czynili tak tylko wtedy, gdy wiedzieli, że rozmowy nie słucha nikt niepowołany). Na jego twarzy rysowało się zdecydowanie, spojrzenie miał bystre i przenikliwe. Także kiedy się uśmiechał, oczy pozostawały wciąż oceniające, uważne i bez wyrazu.

- Z przyjemnością dopomogę panu, w czym tylko zdołam, mistrzu Madderdin - rzekł, gdy zapoznał się z wystawionym przez Pommla pełnomocnictwem. -Niemniej jednak...

Ponieważ nie kontynuował, pozwoliłem sobie powiedzieć: -Tak?

- Sądzę, że jeśli Zachariasza Klingbeila ścigała zemsta wiedźmy, to zasłużył sobie na wszystko, co go spotkało!

- Nie, panie Fragenstein - odparłem twardo. - Nawet największy zbrodniarz nie zasłużył sobie na cierpienia z ręki czarownicy. Nie dlatego, iż byłyby one tak straszne, ale dlatego, że cierpienie wolno zadawać tylko w imieniu prawa i zgodnie z jego wymogami.

- Boży gniew go dotknął! - krzyknął.

- Sugerujecie, iż nasz Pan mógł wykorzystać wiedźmę, by ukarać tego człowieka?

- Ja niczego nie sugeruję, mistrzu Madderdin - wycofał się, wiedząc, że wchodzenie na grząski grunt religijnych rozważań może skończyć się dla niego nie za dobrze. - Ja go po prostu nienawidzę i tuszę, że pojmujecie powody tej nienawiści?

- Nienawiść jest jak wściekła suka, panie Fragenstein. Jeśli nie utrzymacie jej na łańcuchu, pokąsa i was samych...

- A więc nie pojmujecie - westchnął.

- Inkwizytorzy zostali powołani, by dzielić się z ludźmi miłością, nie nienawiścią - odparłem. - Lecz jeśli pytacie, czy rozumiem wasze uczucia, to tak: rozumiem je. Zadam wam jednak pytanie, panie Fragenstein. Czy jesteście święcie przekonani, że właśnie Zachariasz Klingbeil zabił waszą siostrę?

- Jak prawdą jest, że Jezus Chrystus zszedł z krzyża swej męki, by pokarać grzeszników, tak prawdą jest, że Zachariasz Klingbeil zamordował Paulinę - wyrzekł uroczyście Griffó, kładąc dłoń na sercu.

Zdumiałem się, gdyż w jego słowach nie wyczułem nawet okrucieństwa. Oczywiście mógł być tylko przekonany o czymś, co nie miało pokrycia w rzeczywistości. Oczywiście ja, niedoświadczony inkwizytor, mogłem się mylić, oceniając wypowiedź szczwanego kupca, niemniej w jego słowach nie brzmiało nic innego poza żarliwą wiarą w prawdę wypowiedzianych oskarżeń.

Zasiedliśmy do sutego posiłku i hojnie zakropiliśmy go winem. Jedzenie było wyjątkowo smaczne, a czerwone i białe wina pochodziły z roczników może nie znamienitych, ale i tak aż za dobrych na nędzne podniebienie bożego sługi. Do ciast, pierników i marcepanów podano natomiast alhamrę - słodką, gęstą niczym miód, pachnącą korzeniami. Westchnąłem. Dobrze się wiedzie szlacheckim bękartom, pomyślałem. Mogły pocieszać mnie jedynie słowa naszego Pana, który obiecał przecież bogaczom, że *prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż bogaty wejdzie do Królestwa Niebieskiego*. A wszak człowiek taki jak ja, określający się mianem ubogiego, wierzył, że najistotniejszy jest fakt, iż jego serce znajduje się w miłości „u Boga”.

W trakcie posiłku gawędziliśmy o wszystkim i niczym, a Griffo opowiadał między innymi o problemach z hodowlą koni szlacheckiej krwi oraz o tym, jak ofiarował bułaną klaczkę pewnej słynnej śpiewaczce, Ricie Złotowłosej.

- Szkoda tylko, że w zamian zadedykowała mi zaledwie jedną ze swych ballad, gdyż liczyłem na więcej -dodał, mrugając do mnie.

- Piękna chociaż?

- O, piękna... - rozmarzył się.

- Komu z nas nie drży serce na widok powabnej niewiasty? - Uniosłem kielich. - Ich zdrowie, panie Fragenstein!

- Są dla świata jak plaga, ale przecież bez tej plagi nie chciałoby się żyć. - Stuknął swoim kielichem w mój, na tyle lekko, by nie zagrozić życiu kryształów.

Wypiliśmy, a ja odetchnąłem i pogłaskałem się po brzuchu.

- Dziękuję wam za zajmującą konwersację oraz wyśmienity poczęstunek - powiedziałem. - Pozwólcie jednak, że z waszym pozwoleniem udam się teraz, by przesłuchać Klingbeila.

- Sute śniadanie, obfitość trunków, a wy chcecie iść do lochów? - zdumiał się. - Lepiej zdradźcie, co byście powiedzieli na wizytę u pewnych uroczych dam?

- Może później. - Wstałem z krzesła. - Choć rozumiecie sami, że dokonuję tego wyboru wbrew własne-

mu sercu. - Uśmiechnąłem się. - Raczycie wypisać mi papiery?

- Skoro taka wasza wola - rzekł. - Zresztą sam was zaprowadzę i dopilnuję, by potraktowano was jak należy.

Nie miałem nic przeciwko towarzystwu Griffa, zwłaszcza że wiedziałem, iż kiedy przyjdzie do przesłuchania, to po prostu wyproszę go z celi. Mógł sobie być grubą rybą w tym mieście, ale nikt nie będzie przysłuchiwał się śledztwu bez zaproszenia inkwizytora.

* * *

Sformułowanie „dolna wieża” sugerowało, że więzienie znajduje się w budynku złożonym z właściwego wnętrza, położonego na parterze, górnej wieży i właśnie dolnej wieży. Ktoś mógłby nawet wyobrazić sobie strzelistą budowlę, gdzie w podniebnych celach zrozpaczeni więźniowie wypatrywaliby orłów, co uniosą ich z niewoli. Nic bardziej mylnego, mili moi! Zbudowanie solidnej wieży wymagało zatrudnienia doświadczonych architektów, dobrych murarzy, zgromadzenia wysokiej jakości kamienia lub cegieł i przygotowania zaprawy na tyle trwałej, by zapewniała, iż cała konstrukcja nie rozpadnie się po kilku latach. A to kosztowało. Więc czemuż rada miejska miałaby wydawać krocie na więzienie? Budynek ten przylegał do ratusza i był zwykłą parterową budowlą. Kara „górną wieżę” oznaczała, że więźniowie przebywać będą w suchych celach z oknami pozwalającymi im przyglądać się bożemu światu i korzystać ze słonecznego światła. Kara „dolnej wieży”

oznaczała, że będą wegetować w piwnicach, pozbawieni świeżego powietrza oraz pogrążeni w wiecznej ciemności.

Nie sądziłem jednak, że regenwaldzkie lochy mają aż dwa poziomy. Potem dowiedziałem się, że jeszcze sto kilkadziesiąt lat temu w tym miejscu stała warownia. Lecz w czasie wojny spalono miasto, a twierdzę zrównano z ziemią. Natomiast lochy pozostały w stanie niemal nienaruszonym.

Najpierw zeszliliśmy do piwnic, potem kręte, długie schody zaprowadziły nas do wartowni. Wartownia to szumnie powiedziane, gdyż w małej klitce siedziało dwóch pijanych strażników, którzy zobaczywszy Fragensteina, usiłowali jak najszybciej schować pod stół butelkę. W efekcie ją stłukli. Griffo wielkodusznie udał, że nic nie zauważył.

- Jak tam Klingbeil? - zagadnął.

- Łożesz, moiściewy! - zawołał młodszy ze strażników. - Jakżem mu przyłał, panie, żesz ty!
- Co takiego? - Zauważyłem, że oczy Griffa zwiężyły się w szparki. Na miejscu strażnika zastanowiłbym się nad tym faktem.
- Wrzeszczał, panie, żesz. - Mężczyzna zamachał rękoma. - Tom poszedł i mu, kurwa, żem przyłał i żem mu powiedział, że morda w kubeł, nie bulgotać! - Roześmiał się zadowolonym, pijackim śmiechem.
- Dobrze żem powiedział, nie?

Fragenstein spojrział na starszego z wartowników.

- Kto to jest?! Nie znam go.

W jego głosie wyczuwałem ton, który - gdybym był młodszym strażnikiem - kazałby mi brać nogi za pas. Oczywiście pod warunkiem, iż rzeczony młodszy strażnik miałby choć kapkę oleju we łbie wypełnionym trunkami.

- Jazem go z kopa, a potem prętem w ryja i żesz znowu z kopa...

- Panie radco, ja wyjeżdżałem. - Starszy strażnik wiedział chyba, co się święci. - Jestem pierwszy dzień. Tydzień mnie nie było i go nie znam, jak Boga kocham...

To nowy...

Griffo był błądy z wściekłości. Szczęki chodziły mu jak u polującego kota. Wyciągnął rękę.

Starszy strażnik zrozumiał gest i podał okutą żelazem pałkę, która do tej pory stała oparta o ścianę.

- Z pierwszego jebnięcia to żem mu nosa zahaczył, drugim żem podpierdolił oko, a trzecim... - chełpił się młody, rozcapierzając palce.

Kiedyś miałem zaszczyt obserwować, jak biskup Hez-hezronu zabawia się grą w palanta. Jego Ekscelencja zadziwił mnie celnym oraz mocnym uderzeniem bijaka prosto w piłeczkę. Lecz to było nic w porównaniu z ciosem zadany przez Griffa. Jednym zręcznym ruchem pałki połamał strażnikowi wszystkie trzy wyciągnięte palce. Potem pociągnął od lewej i trafił dokładnie w kolano. Dopiero wtedy mężczyzna zaczął przeraźliwie wyć.

- Chodźmy - rozkazałem starszemu strażnikowi i pociągnąłem go za rękaw.

Poszedł za mną posłusznie, a gdy odchodziliśmy, nie słyszeliśmy ani sapania, ani łomotu pałki uderzającej w ciało, a tylko pełen bólu ryk katowanego człowieka. Ciekaw byłem, kiedy Griffo się zmęczy i zdecyduje

je dotrzeć do nas. I ciekaw również byłem, co zostanie z wartownika. Choć trudno było nie zgodzić się z tezą, iż dostaje tylko to, na co sobie solennie zasłużył.

* * *

Do celi Klingbeila prowadziły drzwiczki, po obrośniętym rdzą zamku poznałem, że dawno z nich nie korzystano. Więźniowi podawano wodę i jedzenie przez malutkie okienko w murze. Nikt sobie nie zadał trudu, by je okratować, gdyż nawet dziecko nie byłoby w stanie zmieścić się w tym wyłomie. Zerknąłem i zobaczyłem człowieka leżącego na kamiennym podeście pod przeciwległą ścianą celi. Podest miał szerokość zaledwie jednego łokcia, więc więzień, by utrzymać się na nim, wydrapał dziury pomiędzy cegłami i widziałem, że teraz, śpiąc, wczepia się pazurami w te otwory. Dlaczego tak rozpaczliwie starał się utrzymać na kamiennej półce? Otóż dlatego, że w celi nie było posadzki. A raczej zapewne była, lecz niewidoczna, pokryta warstwą brunatnej brei. Tak wściekle cuchnącej, że przez moment chciałem cofnąć twarz od okienka. Breja składała się z nigdy niesprzątanых odchodów skazańca oraz sączącej się ze ścian wody. Dzięki panującej obok mnie ciszy słyszałem miarowe kap, kap kropli spływających po murze.

Syn kupca Klingbeila leżał odwrócony twarzą do ściany, więc widziałem jedynie jego plecy z wystającymi kośćmi łopatek i chude pośladki pełne brudu wżartego głęboko pod skórę. Nagle jęknął i obrócił się. Ten gwałtowny ruch spowodował, że z pluskiem wpadł w ohydny maź. Zerwał się niemal natychmiast. Nieczystości sięgały mu kolan, ale ja zwróciłem uwagę na coś innego. Otóż twarz Zachariasza była nie tylko zdeformowana i poznaczona siatką starych blizn. Przez lewy policzek, od kącika ust aż do brody, biegła paskudna, rozjątrzona rana, a nos wydawał się zmiażdżony. Najwyraźniej były to ślady po biciu, którym przechwalał się młody strażnik (i za które otrzymywał właśnie stosowną nagrodę od Griffa).

Młody Klingbeil zatoczył się w stronę drzwi, rozchlapując wokół śmierdzące błoto, potem poślizgnął się i upadł. Zniknął pod powierzchnią.

- A to się skapał! - Stojący obok mnie mężczyzna roześmiał się szczerym śmiechem półgłówka.

- Ruszaj! - Oderwałem się od okienka i trąciłem strażnika. - Wyciągaj go!

- Co wy, panie? - Spojrzał na mnie wzrokiem tak oburzonym, jakbym mu zaproponował, żeby sodomicznie zabawił się z własnym ojcem.

Nieprzytomny człowiek nie wytrzyma bez oddechu dłużej niż przez czas wystarczający, by odmówić trzy, cztery razy „Ojcze nasz”. A ja nie chciałem, by Zachariasz umarł. Był moją nadzieją na półtora tysiąca koron. Mordimer Madderdin postanowił więc zadbać o swą i tak mocno niepewną inwestycję. Jednym ruchem wykręciłem wartownikowi ramię, tak że zgiął się do samej ziemi. Wrzasnął i coś chrupnęło mu w barku. Wyszarpnąłem nóż i ukłułem go w szyję.

- Zaczęę odmawiać „Ojcze nasz”. Jeśli po trzecim „amen” nie będę miał więźnia tutaj, to nie żyjesz... - zapowiedziałem.

Puściłem go. Zatoczył się na ścianę.

- Ale buty, spodnie, panie... Zaśmierdną...

- *Ojcze nasz, który jesteś w niebie...* - zacząłem.

- Już, już! - Podskoczył do drzwi i w kole z kluczami zaczął szukać tego właściwego.

Wreszcie żelazo zachrobotło w zamku.

- Ostrożnie, nie złam - poradziłem.

Zaskomlał coś niezrozumiale, siłował się przez chwilę, a potem wyszarpnął klucz.

- Nie ten! - wyjęczał, patrząc na mnie z przerażeniem. Jego z gruba ciosana, tępa twarz przepelniona była rozpaczą.

- Pierwsze „amen” minęło - mruknąłem. - Srebrna korona, jeśli ci się uda - dodałem, gdyż stara, dobra zasada mówiła: „Pozwól ludziom wybierać między kijem u marchewką”. Niektórzy co prawda sądzili, że wystarczy zaoferować kij lub więcej kija, lecz w tym momencie uznałem, że strażnik jest wystarczająco zastraszony.

Kolejny klucz zazgrzytał w zamku i tym razem z oporem, ale jednak! przekręcił się. Raz i drugi. Drzwi szarpnięte silną dłonią przeraźliwie zajęczały. Mężczyzna zeskoczył do celi, rozbryzgując cuchnące błocko (przezornie odsunąłem się o krok), poślizgnął się, przewrócił i skapał wraz z głową. Poderwał się chyba jeszcze szybciej, niż upadł, po czym zaklął szpetnie długą i wymyślną wiązką, jednocześnie parszając oraz prychnając. Namacał leżące na posadzce ciało, wyciągnął je. Chwycił dobrze i przerzucił sobie przez ramię. Dodzwigał za drzwi i upuścił pod moimi nogami. W ostatniej chwili ruszyłem stopą, by czaszka młodego Klingbeila nie stuknęła o kamienie, lecz zatrzymała się na mym bucie.

- Udało się, panie. - Strażnik siarczyście splunął czymś gęstym i brązowym, a potem obficie wysmarkał się na kamienie.

Najpierw chciałem mu kazać, by ocucił więźnia, lecz uznałem, że sam to zrobię dużo lepiej. Ukucnąłem nad ciałem i przyłożyłem palce do szyi Zachariasza. Tętnica pulsowała. Słabo, bo słabo, lecz jednak pulsowała. Poruszyłem jego ramionami, nacisnąłem klatkę piersiową, a kiedy się przygał i usłyszałem spazmatyczny oddech, uznałem, że wszystko jest w porządku. Oczywiście w porządku, tylko jeśli chodzi o podtopienie. Natomiast gorzej było z resztą. Niepokoiła mnie zwłaszcza brudna, ogromna rana na twarzy. Więzień był skapany w nieczystościach i upiornie śmierdzał, więc nie mogłem na razie stwierdzić, czy ciało zaczęło już gnić. Jeśli tak - dni Zachariasza były policzone. A co za tym idzie, ja nie będę miał nigdy okazji policzyć obiecanych półtora tysiąca koron. Poza tym syna kupca zagłodzono w celi niemal na śmierć. Mimo że był dużo wyższy ode mnie (a, wiercie mi, wasz uniżony sługa nie należy do karłów), byłem niemal pewien, że uniósłbym go jedną ręką.

- Bierz się - rozkazałem strażnikowi, wskazując leżące na kamieniach ciało.

Wtedy pojawił się Griffó. Na zwykle bladej twarzy miał ceglaste rumieńce, a czoło skroplone potem.

- Co z nim? - rzucił.

- Jeśli umrze, to umrze, a jak przeżyje, to żyć będzie - przypomniałem sobie żarcik, który zasłyszałem niegdyś od żaków uczelni medycznej. Choć, Bogiem a prawdą, nie było mi do śmiechu, gdyż moje półtora tysiąca koron właśnie leżało i zdychało.

- Sprowadzę medyka z Ravensburga - obiecał bladey Fragenstein. - Zaraz każę po niego posłać.

- A co tam, dostojny panie, z młodym? - strażnik zaleknionym, cichym głosem zapytał o losy kompana.

- Spadł ze schodów - poinformował zimno Griffó. - Tak nieszczęśliwie, że zgruchotał sobie czaszkę.

Mężczyzna przełknął głośno ślinę, a ja pomyślałem, iż bycie podwładnym Fragensteina to naprawdę

ciężki kawałek chleba. Nie żebym nie potępił bezcelowo okrutnego zachowania strażnika, ale gwałtowność postępowania Griffa jednak mnie, delikatnie mówiąc, zaskoczyła. Poza tym widać było, jak silną miał pozycję w mieście, skoro bezkarnie mógł sobie pozwolić na zabicie człowieka. I to nie pierwszego z brzegu żebraka czy włóczęgę, lecz strażnika miejskiego na służbie.

* * *

W więzieniu nie było lazaretu. Pomyślałem, że my, inkwizytorzy, zwykle lepiej dbamy o zatrzymanych. Ale leż często chodzi o to, by pieczołowicie ich wykurować z myślą o kolejnych przesłuchaniach. Śmierć oskarżonego w wyniku tortur czy złego traktowania była oznaką niekompetencji. Po pierwsze, zamykał się wtedy dostęp do informacji, których mógłby nam udzielić, a po drugie, inkwizytorom nie chodziło przecież o zamęczenie przesłuchiwanego, lecz o ofiarowanie mu szansy na zbawienie i oczyszczenie umysłu z brudów herezji. Wiercie mi, sam widziałem wielu skazanych, którzy ze łzami w oczach dziękowali inkwizytorom, iż pozwolili im zachować nadzieję na życie wieczne przy niebieskim

ołtarzu Pana. A cena dojmującego bólu tortur i ognista kąpiel w żarze stosu wydawały im się więcej niż właściwe.

W przypadku Klingbeila nie chodziło jednak o tortury. Ten człowiek był wynędzniały, osłabiony, chory i rozplomieniony gorączką. Znalezione dla niego małą izdebkę z łóżkiem, a ja kazałem strażnikom przynieść wiadro ciepłej wody, bandaże i wezwać medyka (gdyż nie chciałem marnować czasu, czekając na wezwanego przez Griffa lekarza, który mógł dotrzeć nie wcześniej niż za dwa dni). Zanim doktor zdążył się pojawić, obmyłem twarz Zachariasza. I to, co zobaczyłem pod skorupą brudu, bardzo mi się nie spodobało.

Medyk, jak każdy medyk, był zarozumiały oraz przekonany o własnej nieomyślności. Poza tym strażnicy wyciągnęli go z jakiejś bibki, gdyż wyraźnie zalatywało od niego winem.

- Temu człowiekowi nic nie pomoże - stwierdził autorytatywnym tonem, kiedy tylko zerknął na twarz Klingbeila.

- Nie sądzę - rzekłem.

- A kimże wy jesteście, by nie sądzić? - ironicznie zaakcentował wypowiedziane przeze mnie słowa.

- Jestem jedynie prostym inkwizytorem - odparłem. - Lecz uczono mnie podstaw anatomii ludzkiego ciała, choć zapewne nie dorównuję w tej mierze świątym doktorom.

Medyk zbladł. I wydawało mi się, że również momentalnie wytrzeźwiał.

- Wybaczcie, mistrzu - przemówił już nie tylko uprzejmie, lecz wręcz pokornie. - Ale zważcie sami na to straszne jątrzenie rany. Zważcie na zgniliznę. Powąchajcie!

Nie musiałem zbliżyć się do Zachariasza, by czuć mdlący odór rozkładającego się ciała. Czyż może być coś straszniejszego, niż gnić żywcem w smrodzie ropy sączącej się z ran?

- Mogę wyciąć chorą tkankę, ale, Bóg mi świadkiem, uszkodzę przy tym nerwy! Nie da się inaczej! A jeśli się da, to będzie to cud boży, a nie kunszt lekarski! Zresztą pewnie nawet i to nie pomoże...

- Nie nadużywajcie imienia Pana Boga naszego - poradziłem i medyk zbladł jeszcze bardziej.

Rzeczywiście miał rację. Lewy policzek Klingbeila był jedną rozjątrzoną, zaognioną, śmierdzącą raną. Można było go operować. Jednak konsekwencją każdego nieostrożnego ruchu lancetem stałby się paraliż twarzy. Nigdy zresztą nie wiadomo, czy gnijącą tkankę usunięto by w całości, a jeśli nie, wtedy pacjent, tak czy inaczej, by umarł. A ten właśnie pacjent był przecież wart półtora tysiąca koron!

- Słyszałem o pewnej metodzie - zacząłem - stosowanej ponoć w wypadkach, gdy ludzka ręka nie jest już w stanie niczemu zaradzić...

- Myślicie o żarliwej modlitwie? - podpowiedział skwapliwie.

Spojrzałem na niego ciężkim wzrokiem.

- Myślę o larwach mięsożernych much - wyjaśniłem. - Wprowadzone do rany wyżrą jedynie chorą tkankę, pozostawiając zdrowe ciało nienaruszonym. Ponoć już medycy rzymskich legionów stosowali tę metodę.

- Rzymianie byli wrogami naszego Pana!

- A co to ma do rzeczy? - Wzruszyłem ramionami. - Od wrogów też można się uczyć. Czy nie korzystacie z łaźni? Wszak one zostały wymyślane właśnie przez Rzymian.

- Nie słyszałem o podobnie obrzydliwym zabiegu - naburmuszył się medyk.

Ośmielałem się sądzić, że myślał o larwach much, a nie o łaźniach, chociaż stan jego odzienia oraz czystość rąk i włosów wskazywały na to, że nie korzysta zbyt często z dobrodziejstw prania oraz kąpieli.

- To nie tylko usłyszycie, ale i wypróbujecie - rzekłem. - No już, zabierajcie się do roboty! Tylko zwawo, bo ten człowiek nie może czekać!

Spojrzał na mnie błędnym wzrokiem, zamamrotał coś pod nosem i wybiegł z pokoju. Przyjrzałem się Zachariaszowi, który leżał na łożu, wydawałoby się, pozbawiony życia.

Podszedłem i starałem się nie oddychać nosem. Mam czułe powonienie i trudy codzienności oraz ciężkie inkwizytorskie powinności nic w tej mierze nie zmieniły. Zdawać by się mogło, że mój nos przyzwyczaił się do smrodu nieczystości, odoru niemytych ciał, fetoru gnijących ran, woni krwi i wymiotów. Nic z tego: nie przyzwyczaił się.

Przyłożyłem dłoń do piersi Klingbeila i poczułem, jak bije jego serce. Słabo, bo słabo, ale bije. Człowiek, który mnie wynajął, miał szczęście, że nie oglądał swego syna w tej chwili. Nie dość, że Zachariaszowi niemal zgnił jeden policzek, a drugi był poszarpany zaszarzały-

mi bliznami, to całe ciało było tak wychudzone, że koki zdawały się przebijać przez pergaminową, namiękłą od wilgoci i pomarszczoną skórę.

- Kostucha - powiedziałem bardziej chyba do siebie niż do niego. - Wyglądasz jak kostucha, synu.

I wtedy, możecie mi uwierzyć lub nie, powieki człowieka, który sprawiał wrażenie trupa, uniosły się. A przynajmniej uniosła się prawa, czyli ta niezastłonięta opuchlizną.

- Kostuch - wymamrotał niewyraźnie. - Jeśli już, to Kostuch.

I zaraz potem jego oczy z powrotem się zamknęły.

- A tośmy sobie pogadali, Kostuchu - mruknąłem, lecz byłem zdumiony, że w tym stanie, w jakim był, odzyskał przytomność, choć na tak krótki moment.

* * *

Kupiec przyjął mnie w swoim domu, ale poszedłem tam dopiero po zmierzchu, by nie rzucać się ludziom w oczy. Nie zauważyłem, by mnie śledzono, choć oczywiście nic dało się wykluczyć, iż któryś ze służących Griffa obserwował wchodzących i wychodzących z domu Klingbeila. Nie zamierzałem się jednak ukrywać, gdyż przecież zupełnie naturalnym elementem śledztwa była rozmowa z ojcem ofiary czarów.

- Przyznam szczerze, panie Klingbeil, że nie rozumiem. Ba, jestem skłonny powiedzieć: nic nie rozumiem.

- Czegóż to?

- Griffa nienawidzi waszego syna. A jednak nie sprzeciwił się skazaniu go na karę więzienia, zamiast żądać skazania na śmierć...

- Nie wiem, co gorsze - przerwał mi kupiec.

- Dobrze. Powiedzmy, że gorąca nienawiść zamieniła się w jego sercu w chłodną żądę wysmakowanej zemsty. Wolał widzieć wroga nie na szubienicy, a gnijącego w lochu. Cierpiącego nie przez dwa pacierze, a przez całe lata. Lecz jak wytłumaczycie, że zatłukł na śmierć strażnika, który zranił waszego syna? Że na własny koszt sprowadził znanego medyka z Ravensburga?

- Chciał się wam przypodobać - mruknął Klingbeil.

- Nie. - Pokręciłem głową. - Kiedy dowiedział się, że wasz syn został pobity, był naprawdę wściekły. Zresztą sformułowanie „naprawdę wściekły” jest zbyt łagodne. On go zatłukł. Z pełną premedytacją zatłukł go pałką jak wściekłego psa...

- Jeśli chcecie wzbudzić moją litość, źle trafiliście - burknął.

- Nie zamierzam wzbudzać waszej litości. - Wzruszyłem ramionami. - Przedstawiam wam fakty.

- Mówcie dalej.

- Dowiedziałem się i innych rzeczy. Zachariaszowi dawano więcej jedzenia niż pozostałym więźniom. Poza tym co miesiąc do celi przychodził medyk. Ośmielałem się sądzić, że ktoś chciał, by wasz syn cierpiał, ale jednocześnie ktoś bardzo nie chciał, by wasz syn umarł. I mam wrażenie, że to jest ten sam ktoś.

- Cel? - zapytał krótko.

- Właśnie - powiedziałem. - Oto jest pytanie! Coś mi mówi, że to nieco więcej niż tylko chęć przypatrywania się upokorzonemu i cierpiącemu wrogowi. W końcu musiał się liczyć z tym, że uda wam się wyjednać ułaskawienie syna. Pisaliście przecież do cesarskiej kancelarii, a wszyscy wiemy, że

Najjaśniejszy Pan ma wielkie serce...

Najjaśniejszy Pan nie miał akurat wiele wspólnego z ułaskawieniami, gdyż wszystko zależało od jego ministrów i sekretarzy, przedkładających dokumenty do podpisu. Niemniej jednak słyszano o spektakularnych przejawach miłosierdzia cesarza. Kilka lat temu kazał nawet wypuścić wszystkich więźniów skazanych za pomniejsze przestępstwa. Ten akt łaski nie objąłby co prawda Zachariasza, ale świadczył o jednym: Griffo Fragenstein nie mógł być pewien, czy nagle do Regenwalde nie trafi list z cesarską pieczęcią, nakazujący zwolnienie więźnia. A wtedy sprzeciwienie się cesarskiej woli nie byłoby możliwe. Chyba że zuchwały buntownik miałby ochotę zamienić się z Zachariaszem miejscami i wprowadzić się do celi w dolnej wieży.

- Ludzie są głupi, panie Madderdin. Nie oceniajcie wszystkich po sobie. Nie sądźcie, że kierują się rozsądkiem i wybiegają myślami naprzód...

Te słowa do złudzenia przypominały przestrożę, jakiej udzielił mi przed wyjazdem Heinrich Pommel. I zapewne było w nich sporo racji. Tyle że miałem okazję poznać Griffa Fragensteina. Był bogatym kupcem, znanym z dokonywania szczęśliwych i trafionych transakcji. Tacy ludzie nie zarabiają majątku, nie wybiegając

myślami w przyszłość i nie analizując poczynań rywali. Powiedziałem to Klingbeilowi.

- Trudno się z panem nie zgodzić, panie Madderdin. Jednak nadal nie wiem, dokąd zmierza wasze rozumowanie.

- Griffo potrzebuje żywego Zachariasza. Umęczonego, upokorzonego, ba, nawet niespełna rozumu, ale mimo wszystko żywego. Po co?

- Wy mi odpowiedzcie - burknął zniecierpliwiony. - W końcu za to płacę.

Pokiwałem głową.

- I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi - odpowiedziałem słowami Pisma, mając na myśli to, że kiedy poznam prawdę, to syn Klingbeila będzie mógł się cieszyć wolnością. Kupiec zrozumiał moje słowa.

- Niech was Bóg wspomaga - rzekł.

- Panie Klingbeil, do tej pory zajmowałem się pańskim synem. Na szczęście na razie jest bezpieczny i nic mu nie grozi poza chorobą, z którą, miejmy nadzieję, sobie poradzi. Teraz muszę zająć się kimś innym. Co wiecie o siostrze Griffa?

- O Paulinie? Tu wszyscy wiedzą wszystko, panie Madderdin. I pewnie wszyscy powiedzieliby panu to samo. Uparta niczym osioł, pusta jak beczka po kiszzonej kapuście. Pogardzała tymi, z których nie mogła mieć korzyści. Nikogo nie szanowała, a nogi rozkładała przed każdym, kto wpadł jej w oko.

- No to wszystko wiem. - Uśmiechnąłem się. - Jak długo wasz syn się z nią spotykał? Kochał ją?

- Kochał - odparł kupiec po długiej chwili. - Wiedział o wszystkim, ale jednak kochał.

- Zażądał wyłączności, kto wie, może też małżeństwa, ona się nie zgodziła i wtedy ją zarznął. Hm?

- Macie bronić mego syna czy go oskarżać? - Spojrzał na mnie ponurym wzrokiem.

- Mam odnaleźć prawdę - przypomniałem mu łagodnie. - Poza tym przecież właśnie do tego się przyznał. Czyż nie?

- Przyznał! - parsknął Klingbeil. - Dobry kat zmusi przesłuchiwanego nawet, by się przyznał, że jest zielonym osłem w różowe ciapki!

- To dobre! - Zaśmiałem się z dowcipu i pomyślałem sobie, że go zapamiętam. Lecz zaraz spoważniałem: - Waszego syna nie torturowano. Wiecie przecież... Z własnej woli opowiedział wszystko i przyznał My do zabójstwa.

- Nie - rzekł kupiec wyraźnie i stanowczo. - Nigdy w to nie uwierzę.

- Zaczekam, aż oprzytomnieje, i porozmawiam z nim - powiedziałem. - Tylko nie wiem, czy to cokolwiek zmieni. Miała przyjaciół? - wróciłem do Pauliny. - Może powiernicę od sercowych spraw?

- Ona nie lubiła ludzi, panie Madderdin. - Pokręcił głową. - Nie słyszałem o nikim takim. Jedynie Griffo był z nią naprawdę blisko. Różne rzeczy ludzie gadali o tych dwojgu...

Aaaa, takie buty - mruknąłem po chwili. Kazirodztwo było grzechem i przestępstwem może mc powszechnym, ale słyszało się tu i ówdzie o rodzeństwie żyjącym jak mężowie z żonami, o ojcach rozpustnie figlujących z córkami. Nie mówiąc już o grzesznych stosunkach łączących kuzynów, czy też zabawach

ojcymów z pasierbicami lub macoch z pasierbami. W niektórych wypadkach stosunki takie karano śmiercią, w innych wystarczała chłosta połączona z publiczną pokutą. Jednak Griffo i Paulina, mający

wszakże wspólnego ojca, zostaliby napiętnowani oraz powieszani, gdyby tylko wykryto ich grzeszne sprawy. Pod warunkiem, że kazirodztwo w ich wypadku miało rzeczywiście miejsce, a nie było tylko wymysłem zawistników i oszczerców.

- Mieli tego samego ojca, prawda? Pokiwał głową.

- A matka? Gdzie jest jej matka?

- Kurwa kurwę urodziła. - Skrzywił się. - Hrabia podróżował z misją od najjaśniejszego pana do perskiego szacha. Rok go nie było i przywiózł niemowlę. Matka ponoć umarła przy połogu.

- Persyjka?

- Diabli ją tam wiedzą! Może i tak - dodał po chwili zastanowienia. - Paulina była smagła, czarnowłosa

i miała ogromne, ciemne oczy. Podobała się, bo u nas mało takich kobiet...

- Sądźcie więc, że Griffó zabił siostrę, mszcząc się za to, iż zdradziła go z waszym synem?

Pokiwał ponuro głową.

- Nie, panie Klingbeil - musiałem rozwiać jego złudzenia. - Fragenstein był wtedy na przyjęciu organizowanym przez gildię kupiecką z Mistatd. Ma kilka dziesiątków świadków. A zważywszy na fakt, iż tam przemawiał, trudno podejrzewać, że go źle zapamiętano...

- Wynajął zabójcę.

- Powierając komuś tajemnicę, powierzacie mu własne życie - odparłem słowami przysłowia. - Nie sądzę, by był na tyle nieroztropny.

- Idźcie już sobie. - Rozdrażniony Klingbeil machnął dłonią. - Myliłem się, myśląc, że uczciwie zajmiecie się sprawą.

- Uważajcie, by nie rzec czegoś, czego byście potem żalowali. - Popatrzyłem na niego i zmieszał się.

- Darujcie - westchnął po chwili i podparł brodę na pięściach. - Sam nie wiem, co robić.

- To ja wam powiem - odrzekłem. - Postawcie przy synu zaufanego człowieka. Niech czuwa obok łoża dzień i noc. I niech to będzie ktoś, kto nie lęka się użyć broni.

- Sądźcie, że...

- Nic nie sądzę. Wiem jednak, że Bóg pomaga tym, którzy potrafią pomóc sami sobie.

* * *

Przez kolejne trzy dni nie miałem niemal nic do roboty. Odwiedzałem Zachariasza, by przyjrzeć się skutkom leczenia, i poznałem medyka z Ravensburga, kościstego, żwawego staruszka, który pochwalił zaproponowane przeze mnie metody.

- Bahdzo dobrze, bahdzo dobrze. - Poklepał mnie serdecznie po ramieniu. - Taki młody, a już ma olej w głowie.

Na ogół nie przepadam za dotykiem obcych ludzi, ale tym razem uśmiechnąłem się, gdyż w tym poufałym geście tak naprawdę wcale nie było poufałości, a tylko uznanie starszego, doświadczonego człowieka, który nie widział we mnie inkwizytora, lecz niemalże kolegę po fachu.

- Sądźcie, że przeżyje?

- Aaa, to już całkiem inna sphawa - odparł - bo z doświadczenia dobrze przecież wiemy, że nawet zastosowanie odpowiedniej kuhacji wcale nie musi pomóc pacjentowi. A tu sphawy zaszyły naphawdę daleko...

Spojrzałem na tłuste larwy kłębiące się w ranie i odwróciłem wzrok.

- Ładny to on już nigdy nie będzie - mruknąłem.

- Moim zadaniem jest utrzymać go przy życiu, nie mahtwić się jego uhadą. - Machnął dłonią. - Ale co hacja, to hacja.

Zachariaszem zajmowało się również na zmianę dwóch ludzi Kłingbeila (sprawiali wrażenie tęgich chłopów, co z niejednego pieca chleb jedli) oraz służebna dziewczka, widać przeszkolona w opiece nad chorymi; widziałem, jak zręcznie karmi nieprzytomnego tłustym rosołem i jak sprawnie zmienia nieludzko cuchnące bandaże.

Wreszcie czwartego dnia syn kupca odzyskał świadomość na tyle, że wiedziałem, iż będę mógł zamienić z nim kilka zdań. Kazałem wszystkim opuścić pokój.

- Pomagam twojemu ojcu, Zachariaszu - rzekłem. - Nazywam się Mordimer Madderdin i jestem inkwizytorem z Ravensburga.

- Więc już wiecie? - wyszeptał.

- Wiem - odparłem, nie mając pojęcia, o co mu chodzi. - Ale musisz mi wszystko sam opowiedzieć.

Widziałem, że chciał pokręcić głową, lecz nie miał ilość siły. Zmrużył tylko oczy.

- Zabijają... ojca, jeśli powiem...

Usłyszałem tylko dwa zdania z jego ust, a już wiedziałem, że rzecz może być naprawdę poważna. Oto po pierwsze, Zachariasz uznał, iż obecność inkwizytora nie jest niczym niezwykłym, po drugie, wyraźnie dał do zrozumienia, że do tej pory nie mówił prawdy, gdyż za te same prawdy ujawnienie grożono śmiercią jego ojcu. Głównie interesował mnie pierwszy problem. Dlaczego młody Klingbeil uznał udział inkwizytora w śledztwie za uzasadniony?

- Nikt mu nie uczyni krzywdy - obiecałem, wyraźnie akcentując słowa. - A Paulina - dodałem - nie była tym, kim się spodziewałeś, że jest, prawda? - Strzelałem na ślepo, musiałem trafić, gdyż jego oczy się zwężyły. Zasapał ciężko, potem jęknął, widocznie rana zaboląła.

- Musiałem ją zabić. - Patrzył martwym wzrokiem gdzieś w okopcony sufit.

- Nie można cię za to winić, zważywszy na... - Czekałem, co odpowie.

- Właśnie. A Griffa przecież wiedział... - Jego głos stał się tak słaby, że musiałem się pochylić nad łóżem i niemal przyłożyć ucho do jego ust.

- Znał jej tajemnicę?

- Groził mi... że zabije ojca...

- Zabije go, jeśli opowiesz o wszystkim, czego się dowiedziałeś? Czyż nie tak?

Przymknął tylko oczy, niemo przytakując moim słowom. Byłem już blisko. Bardzo blisko i nie mogłem

wypuścić z dłoni tego kawałeczka nitki, dzięki której miałem nadzieję przedostać się przez labirynt.

- Ty tylko zniszczyłeś zło, Zachariaszu - stwierdziłem. - Bo widziałeś zło, prawda?

Znowu opuścił powieki.

Ta rozmowa ciągnęła się jeszcze długo, zanim dowiedziałem się o wszystkim, co wydarzyło się tamtego wieczoru. I przyznam szczerze: nie spodziewałem się, iż z pozoru niewinne śledztwo zaprowadzi mnie aż tak daleko. Próbowałem sobie wyobrazić, co czuł młody Klingbeil, obejmując, całując i przytulając tę dziewczkę. Co czuł, przeżywając z nią rozkosz, słysząc jej jęki, czując jej dłonie na swym ciele i nogi, które obejmowały jego biodra? I co poczuł, kiedy z palców jej dłoni wyrosły szpony, a twarz zmieniła się w okrutną maskę? O czym myślał, widząc, jak źrenice ukochanej stają się jadowicie żółte i obracają w pion? Kiedy poczuł na obojczyku ugryzienie ostrych jak brzytwa kłów? Nie poddał się przerażeniu, nie pozwolił, by go rozszarpała. Sięgnął po sztylet. Dźgał, kłuł, ciął. Tak długo, aż znieruchomiała w jego ramionach. A martwa była już znowu tylko piękną nagą dziewczyną o anielskiej buzi. Zapewne sądziłyby, że oszalał lub został opętany. Gdyby nie fakt, iż Griffa porozmawiał z nim na osobności i zagroził, że jeśli Zachariasz komukolwiek wyjawia tajemnicę Pauliny, to chłopak nigdy nie zobaczy swego ojca pośród żywych. Więc młody Klingbeil przyznał się do wszystkiego i milczał. Mogłem tylko szczerze podziwiać jego hart ducha, który dał mu siłę przetrwania wszystkich cierpień.

Zostawiłem go wycieńczonego rozmową i wiedziałem, że muszę znaleźć odpowiedzi na kilka pytań. Najważniejsze z nich brzmiało: dlaczego Fragenstein nie kazał zabić mordercy swej siostry? Dlaczego tak pilnie starał się utrzymać go przy życiu?

* * *

Nie zamierzałem opowiadać staremu Klingbeilowi o tym, co usłyszałem. Kiedy przyjdzie czas, dowie się wszystkiego. Wyjawiłem więc tylko, że Fragenstein zostanie oficjalnie oskarżony przez Święte Oficjum.

- Potrzebuję ludzi - rzekłem. - Mogę posłać po moich towarzyszy do Ravensburga, ale wolę rzecz załatwić szybko. Jeszcze dzisiaj.

- Przecież jesteście inkwizytorem - powiedział.

- I owszem. - Skinąłem głową. - Lecz jeśli raczycie mi wyjawić, jak mam się wedrzeć do domu Griffa i pokonać jego strażę, to zastosuję się do waszej świątłej rady. Potrzebuję kilku mężczyzn z młotami i łomami. Widziałem drzwi do siedziby Fragensteinów i nie chciałbym spędzić pod nimi nocy, prosząc, by mi otworzono. A Griffa jest zdecydowany na wszystko. Nie zawaha się skorzystać z możliwości ucieczki, sądzę nawet, że nie zawaha się mnie zabić, jeśli tylko dam mu ku temu okazję. A ja dla waszych dwóch tysięcy koron mogę żyć, ale nie zamierzam dla nich umierać. Klingbeil pokiwał głową.

- Zauważyłem, że podnieśliście cenę - rzekł. - Lecz jestem uczciwym człowiekiem i kocham swojego

syna.

Dam więc tyle, ile żądacie. Chociaż... - zawiesił głos -mógłbym już nic nie dać, prawda?

Zastanowiłem się nad jego słowami. W tej chwili ciążył na mnie inkwizytorski obowiązek wyjaśnienia sprawy. Nie mogłem wyjechać z miasta bez przesłuchania brata Pauliny i doprowadzenia wszystkiego do końca.

- Moglibyście - zgodziłem się.

- Dostaniecie swoje pieniądze - obiecał. - A te dodatkowe pięćset koron to moja nagroda za głowę Griffa.

- Nie otrzymacie jej.

- Ja nie. Wystarczy mi sama myśl, że zajmujecie się nim z właściwą dla Świętego Officjum pieczołowitością. - Uśmiechnął się z rozmarzeniem. - Ba, dam wam coś cenniejszego od pieniędzy, panie Madderdin. Dam wam listy polecające do mych partnerów w interesach, aby od tej pory wiedzieli, że jesteście przyjacielem przyjaciół.

- To bardzo szcudroblowa oferta - powiedziałem. -Muszę przyznać, że miło się z panem pracowało, panie Klingbeil.

- Pamiętajcie jednak o jednym, panie Madderdin. Nie zmieniajcie reguł gry w trakcie jej trwania. Jesteście jeszcze młodym człowiekiem i wybaczę wam zapał w targowaniu się. Lecz wiercie mi, że najważniejszym skarbem, który możecie mieć na świecie, jest zaufanie. Kiedy rozejdzie się wieść, iż go nadużywacie, stracie wszystko.

Przemyślałem jego słowa.

- Mam nadzieję, że będziecie zadowoleni z wydatku - rzekłem. - W końcu półtora tysiąca koron nie chodzi piechotą.

- Pięćset dorzucę wam jako premię - odparł. - Ze szczerego serca.

W ciągu dwóch godzin kupiec przyprowadził mi sześciu osiłków, tak jak chciałem, uzbrojonych w młoty, siekiery oraz łomy. Zgodnie z prawem i obyczajem zaprzysiągłem ich jako tymczasowych funkcjonariuszy Świętego Officjum. Miałem pewność, że będą mieli o czym gadać do późnej starości. Postanowiłem jednak, że dobrze się stanie, jeśli w ich opowieści wmisza się nuta dramatyzmu.

- Od tej pory, jako tymczasowi funkcjonariusze Świętego Officjum, podlegacie jurysdykcji Inkwizytorium - zapowiedziałem.

Nie zrozumieli mnie. W tym zdaniu było zbyt wiele słów tak długich, że w czasie ich wymawiania można opróżnić kufel piwa. Postanowiłem więc przybliżyć im problem za pomocą języka, który być może pojmą lepiej.

- Jeśli nie wykonacie rozkazów, zostaniecie zabici -rzekłem. - Ci, którzy będą mieli szczęście, na miejscu. Pechowcy dopiero po przesłuchaniach.

Uśmiechy gasły na ich twarzach tak szybko jak płomienie świec ścinane szablą. To był efekt, którego się spodziewałem, i cieszyłem się, iż mnie nie zawiedli.

- Naprzód, panowie - rozkazałem.

* * *

Rozpoczynając akcję przeciwko Griffowi Fragensteinowi, postępowałem zgodnie z prawem. Wiedziałem jednak, iż prawni puryści mogliby doszukać się w mych działaniach pewnych nieściłości. Oto bowiem powinienem przecież skonfrontować zeznania Zachariasza z zeznaniami Griffa. Bo czyż mający więzień mówił prawdę? Może tylko święcie wierzył we własne słowa, które narodziły się wskutek zwidów wywołanych gorączką i chorobą? A jeśli nawet uwierzyłem słowom syna kupca Klingbeila, to przecież powinienem udać się do burmistrza i wszcząć oficjalne dochodzenie. Dlaczego tak nie uczyniłem? Otóż po pierwsze, ufałem w prawdziwość wyznań Zachariasza. Bynajmniej nie dlatego, że byłem człowiekiem naiwnym, łatwowiernym i dobrodusznym (choć my, inkwizytorzy, jesteśmy wszak balsamem kojącym rany świata). Wierzyłem jego słowom, gdyż prawdziwy Sługa Boży musi wierzyć intuicji, ufając, że jest ona hojnym darem od Najwyższego Pana. Po drugie, wiedziałem, iż zaangażowanie burmistrza i wszczęcie administracyjnych procedur spowoduje tylko to, że Griffo zyska czas na podjęcie przeciwdziałań. Nie złamałem prawa, zaledwie je leciuteńko nagiąłem. Ale jeśli Fragenstein okaże się uczciwym obywatelem, a zeznania Zachariasza majączeniami szaleńca, to Boże, miej w opiece biednego Mordimera.

Posiadłości Fragensteina chroniła furta w kamiennym murze, wystarczyło kilka ciosów ciężkimi

młotami, by droga stanęła przed nami otworem. Wiedziałem jednak, że gorzej pójdzie z drzwiami do samego domu. Kiedy gościłem tu pierwszy raz, dostrzegłem, jak solidne są te wrota, zbudowane z grubych belek wzmacnianych żelazem. Natomiast okna na parterze, na bardzo wysokim parterze, zamykano na noc, zatraskując solidne okiennice. Należało więc wykazać się inteligencją, a nie ślepą siłą. Ująłem w dłoń kołatkę i zastukałem. Raz, drugi i trzeci. Wreszcie rozległo się człapanie.

- Czego tam? - usłyszałem głos kogoś, kto najwyraźniej był bardzo zaspany i bardzo niezadowolony.

- W imieniu Świętego Officjum, otwieraj! - zawołałem.

Zapanowała cisza. Nie sądziłem, by odzwierny myślał, że ktoś robi sobie głupie żarty. Fałszywe podawanie się za funkcjonariusza Inkwizytorium groziło karą kastracji, darcia pasów oraz palenia na wolnym ogniu. W związku z powyższym faktem niewielu trafiało się na szerokim świecie aż tak śmiałych dowcipnisiów.

- Spytałem mojego pana - tym razem usłyszeliśmy głos, który nie był już ani zaspany, ani niezadowolony.

- Jeśli nie otworzysz drzwi, zostaniesz oskarżony o współudział w zbrodni - powiedziałem głośno. - Będziesz torturowany i spalony!

Dałem mu chwilę, by zrozumiał właściwe znaczenie tych słów.

- Liczę do trzech, po czym każę wyważyć drzwi -zapowiedziałem. - Masz rodzinę, chłopcze? - spytałem łagodniejszym tonem i odczekałem moment: - Raz!

Usłyszałem chrobot odmykanych skobli. Uśmiechnąłem się. -Dwa! Drzwi zaskrzypiały.

- Trzy!

Stałem naprzeciw siwobrodego i siwowłosego mężczyzny, który wpatrywał się we mnie z nieskrywanym przerażeniem. Przekroczyłem próg.

- Bóg z tobą, dobry człowieku. - Poklepałem go po ramieniu. - Prowadź nas do pana Griffa.

- Ależ pan tera śpią... - wyjąkał.

- Obudzimy - obiecałem łagodnie i lekko go popchnąłem. - Prowadź - rozkazałem.

Fragenstein musiał nas usłyszeć. Może stukanie do drzwi, a może, jeszcze wcześniej, wyważenie furty prowadzącej do posiadłości. W każdym razie zebrał wokół siebie kilkoro służby (słyszałem podniesione głosy) i zabarykadował się wraz z nimi w komnacie na parterze. Wiedziałem, że będą mogli się tam długo bronić, byłem też pewien, iż Griffa zdążył wysłać kogoś po pomoc. Może do burmistrza, a może do ojca. Miejskie władze nie mogłyby nic uczynić, lecz gdyby hrabia przysłał oddział żołnierzy... Teoretycznie powinni natychmiast poddać się pod rozkazy Officjum, jednak w praktyce ich przybycie oznaczałoby ogromne komplikacje. A ja nie życzyłem sobie komplikacji w tej i tak nad wyraz złożonej sytuacji. Pocieszało mnie tylko jedno: Fragenstein stawianiem oporu poświadczyl swoją winę. Gdyż człowiek niemający nic na sumieniu przyjmie inkwizytorów z serdecznym uśmiechem na ustach, a nie ucieknie do kryjówki, chroniąc się zbrojnymi sługami.

- Griffa Fragenstein - zawołałem - w imieniu Świętego Officjum żądam, byś otworzył drzwi!

To nie było działanie obliczone na przekonanie gospodarza. On wiedział przecież, z kim ma do czynienia. Jednak swoim ludziom mógł wmówić, iż został napadnięty przez rabusiów lub bandę wynajętą przez któregoś z konkurentów. Nawet spokojnych ludzi łatwo nakłonić

do mordowania napastników. Dużo trudniej ich nakłonić do mordowania inkwizytorów. Zza drzwi usłyszałem szmer nerwowych rozmów.

Za wydanie Griffa Fragensteina wyznaczono ogromną nagrodę - powiedziałem głośno.

Nie mijałem się z prawdą. Ten, który wyda swego mocodawcę, zostanie pobłogosławiony w czasie mszy świętej i będziemy się szczerze modlić o jego zbawienie. Czyż może być większa nagroda?

Szmer rozmów dochodzących zza drzwi przeszedł w huk kłótni.

Przystawiać taran! - rozkazałem donośnym głosem. - Nikogo nie brać żywcem! Łucznicy pod okno!

Teraz kryjówka Griffa przypominała gniazdo rozjuszonych szerszeni.

Otwieraaamy! - moich uszu dobiegł rozpaczliwy krzyk. Spodziewałem się takiej decyzji, ciekaw byłem tylko, gdzie jest Fragenstein.

Odsunęli skoble i wszedłem do środka. W komnacie naliczyłem sześciu mężczyzn. W tej sali mogli bronić się niemal w nieskończoność, chyba że wzięto by ich ogniem lub głodem. Oni jednak pokornie ulegli na sam dźwięk słów „Święte Officjum”. Teraz wszyscy klęczeli pod ścianą.

- Panowie, wstańcie - poprosiłem łagodnie. - Przecież nikt was nie wini za grzechy waszego pryncypała. Powiedzcie tylko, gdzie on się podział?

Odpowiedziało mi milczenie.

- No cóż - powiedziałem. - A chciałem być grzeczny. Skoro tak...

Dałem znak moim ludziom, chwycili jednego ze służących Fragensteina. Rzucili go na podłogę, wykręcając mu dłonie do tyłu.

- Zatkajcie mu gębę - rozkazałem. Potem ująłem jego prawą dłoń w swoje ręce.

- *Sroczka kaszkę warzyła.*

Swoje dzieci karmiła.

Temu dała w garnuszczyku,

temu dała w rondelczyku,

temu dała na miseczce,

temu dała na łyżeczce - wyrecytowałem.

Przy słowie „garnuszczyku” złamałem mu mały palec, przy słowie „rondelczyku” palec serdeczny, przy „miseczce” środkowy, a przy „łyżeczce” wskazujący.

Przyznam, że pomysł umilenia tortur dziecięcym wierszykiem przyszedł mi do głowy niespodziewanie. Słyszałem kiedyś o człowieku nazywanym Wesołym Katem z Tiannon, który przesłuchiwał ludzi, radośnie przy tym podśpiewując. I ponoć nie srogość męczarni, lecz właśnie te przyśpiewki najbardziej przerażały ofiary. Postanowiłem więc spróbować podobnego sposobu, gdyż musiałem szybko uzyskać odpowiedź na pytanie, gdzie podział się gospodarz. Bardzo szybko. Któż mógł bowiem wiedzieć, czy Griffo nie zbudował sekretnego podziemnego przejścia prowadzącego do ogrodu lub nawet za teren posesji? I teraz nie uciekał tym właśnie przejściem? A wtedy szukaj wiatru w polu.

- No dobra, druga ręka - poleciałem. - Zaraz, poczekaj - dodałem z udanym zdziwieniem. - On chyba... chciałby coś powiedzieć... Puść.

Torturowany przeze mnie mężczyzna zaczerpnął spazmatycznie tchu. Z oczu łzy lały mu się wartkim strumieniem.

- Ej, chłopaki nie płaczą. - Poklepałem go po policzku. - Gadaj!

- Zniiknąąą! zaaa ściaaanąą! - zaszlochał. - Jak Booogaaa...

- Nikt nie znika za ścianą - przerwałem mu. - Dawaj lewą rękę!

- Błaaaagam! Niiieeee!

Musiałem stłumić ten wrzask i upadł mi pod nogi juk worek.

- Następnego! - rozkazałem. - Tym razem zacniemy od wydłubania oczu.

Następny okazał się człowiekiem rozsądnym oraz wielce przywiązany zarówno do prawego, jak i do lewego oka.

- Drzwi... są... tajne... tu! - wrzasnął, zanim ktokolwiek zdążył go dotknąć. - Wystarczy się oprzeć!

Faktycznie, w miejscu, które wskazał, zbudowano sekretne przejście. Zerknąłem. W dół wiodły drewniane stopnie. Kazałem związać więźniów, wziąłem Świecznik i ruszyłem schodami.

Tak jak przypuszczałem, sekretny korytarz prowadził do ogrodu, a jego wylot znajdował się pod namiotem utworzonym z gałęzi rozłożystej wierzby. Jednak o tym przekonałem się dopiero później, gdyż Griffo nie próbował uciekać. Krzątał się po bibliotece i w pośpiechu ładował tomy do wielkiego worka. Gdyby nie ta pożałowania godna chciwość lub - jak kto woli -

zamiłowanie do książek, zapewne zdołałby uciec i zyskać na czasie.

Dostrzegł, jak wbiegam do komnaty, rzucił we mnie sztyletem. Bardzo zręcznie, szybko oraz z biegłością znamionującą doświadczenie. Nie zdążyłem się uchylić i ostrze wbiło mi się w pierś.

- Mój Boże, jakże byłem przezorny - powiedziałem, strząsając nóż, który utkwiał w siatce kolczugi.

Fragenstein wściekle zaklął i pognął w stronę drzewiczek umiejscowionych tuż obok szafy bibliotecznej. Nie myśląc długo, chwyciłem krzesło, cisnąłem nim w Griffa. To był solidny mebel. Dębowy, rzeźbiony, ciężki. Trafił go prosto w plecy. Podbiegłem i kopnąłem leżącego w brzuch, a kiedy skulił się, przyłożyłem w nerki. Zaskomlał.

- A więc jesteście adeptem mrocznej sztuki - stwierdziłem, rozglądając się uważnie po komnacie. - Proszę, proszę... Kto by się spodziewał.

Griffo otarł twarz z krwi i patrzył na mnie wzrokiem szczura zagonionego w kąt piwnicy. Ale to nadal był niebezpieczny szczur, mili moi, i wiedziałem, że muszę uważać, by nie rzucił mi się do gardła.

Spojrzałem na książki leżące na blacie stołu, wziąłem pierwszą z brzegu. Otworzyłem ją i gwizdnąłem.

- Znacnie perski? - spytałem.

- Perski, arabski i hebrajski. - W jego głosie nie słyszałem ani złości, ani przerażenia. Albo pogodził

się już z losem, albo liczył na szczęśliwą jego odmianę. - Grekę oraz łacinę też - dodał.

- No, no - rzekłem z nieudawanym podziwem. - Jest pan wybitnym człowiekiem, panie Fragenstein. Nie dość, że zręczny kupiec, to jeszcze uczony oraz znawca tajemnych sztuk.

Nie sądził chyba, że inkwizytor będzie mu prawił komplementy, więc spojrzał na mnie ze zdumieniem. A czego się spodziewał? Że z krzykiem na ustach zacznę okadzać pomieszczenie, chlapać wokół wodą święconą i recytować modlitwy?

- Wyjawicie mi, z łaski swojej, jaki był cel tego wszystkiego? - Powiodłem wokół dłonią.

- Odnalazłem zaklęcie mogące przywrócić mi Paulinę - rzekł. - Był tylko jeden warunek...

- Życie jej zabójcy - wszedłem mu w słowo.

- Otóż to!

- Dlatego nie pozwalaliście umrzeć Zachariaszowi. - Pokiwałem głową. - Chcieliście w stosownym czasie złożyć z niego ofiarę. Dręczyliście go, ale jednak pilnowaliście, aby udręka nie zamieniła się w śmierć.

- Właśnie tak! I teraz coś wam powiem, panie Madderdin. - Spojrzał na mnie rozgorączkowanym wzrokiem. - Pozwólcie mi przeprowadzić obrzęd. Cóż was może obchodzić życie syna jakiegoś kupczyka?! Ile wam zaoferował? Ja przebiję jego ofertę dziesięciokrotnie! Stokrotnie, jak chcecie. Dam wam cały majątek. Wszystko, co posiadam. Same te księgi są warte fortunę, a mam jeszcze i złoto, i nieruchomości... Jak będzie trzeba, ojciec...

Przerwałem mu, unosząc dłoń.

- To tylko trucizna - powiedziałem. - Nic niewarta, tak jak i wasze życie... Czarne płaszcze nie zdradzają, panie Fragenstein.

Muszę jednak przyznać, że podziwiałem głębię jego uczuć. Chciał zaoferować mi wszystko, co miał, w zamian za wskrzeszenie ukochanej. Tyle że „wszystko” oznaczało w tym momencie dużo, dużo za mało. Ale to już nie była jego wina.

Czy wielu inkwizytorów na moim miejscu skorzystałoby z tej jakże hojnej oferty? Nie wiem i mam nadzieję, że niewielu lub żaden. Lecz w końcu i wśród nas trafiały się czarne owce, wyżej ceniące sobie doczesne uciechy niż święte zasady wiary. Jakże jednak mógłbym zawiązać spółkę z czarnoksiężnikiem, a potem wychwalać Pana tymi samymi ustami, które zgodziły się na tak podły targ?

Griffo sięgnął do cholewy buta. Nie dość szybko. Celnym kopniakiem wytrąciłem mu sztylet w momencie, kiedy godził nim we własną pierś.

- Nawet mi umrzeć nie dacie! - warknął i znowu skulił się w kącie.

- Damy - obiecałem spokojnie. - Lecz wtedy, kiedy sami tego zapagniemy.

* * *

- Mordimer Madderdin, inkwizytor? - Człowiek w czerni stanął na mojej drodze.

- A kto pyta?

Bez słowa wyciągnął z zanadrza dokumenty i podał mi. Przejrzałem papiery uważnie. Ten mężczyzna posiadał ni mniej, ni więcej, tylko glejty podpisane przez opata klasztoru Amszilas, człowieka, o którym niektórzy mówili, że jest potężniejszy zarówno od papieża, jak i od wszystkich kardynałów oraz biskupów razem wziętych. To właśnie w lochach Amszilas przesłuchi-

wano najbardziej zatwardziały i niebezpiecznych odstępców, to tam zgromadzono i studiowano tysiące zakazanych woluminów. Sprawdziłem pieczęcie oraz podpisy. Sprawiały wrażenie autentycznych, a ponieważ przesławna Akademia Inkwizytorium szkoliła uczniów w umiejętności rozpoznawania fałszyfikatów, więc mogłem być niemal pewien trafności mego osądu. Oddałem dokumenty rozmówcy.

- W czym mogę wam służyć?

- Zabieram twojego oskarżonego, Mordimerze - rzekł. - A ty trzymaj język za zębami.

- Jak sobie to właściwie wyobrażacie? - zapytałem ze złością. - Co mam powiedzieć przełożonemu Inkwizytorium? Że ptaszek mi wyfrunął?

- Heinrich Pommel zostanie o wszystkim poinformowany - odparł człowiek w czerni. - Jeszcze jakieś pytania?

- Owszem - oświadczyłem twardym tonem, a on spojrzał na mnie. W jego wzroku nie wyczytałem nic poza obojętną niechęcią, lecz byłem pewien, że tak naprawdę jest zdumiony, iż nie zawałałem się go zatrzymać. - Mam podstawy podejrzewać, że hrabia Fragenstein wiedział, kim jest jego kochanka, i

wiedział, iż z tego związku wyklął się diabelski pomiot.

Człowiek w czerni zbliżył się do mnie.

- Niebezpiecznie oskarżać arystokratę i cesarskiego posła - powiedział.

W jego głosie nie było groźby. Tylko i wyłącznie stwierdzenie faktu.

- Niebezpiecznie ukrywać prawdę, jakby była zaledwie trędowatą kurwą - odparłem.

Ku mojemu zdumieniu uśmiechnął się samymi kącikami ust. W jego pustych oczach też błysnęło rozbawienie.

- Hrabia Fragenstein nie jest już w naszej mocy - rzekł. - Wczoraj przydarzył mu się tragiczny wypadek. Utonął w rzece.

- Ciała nie znaleziono, prawda? - spytałem po chwili.

- To rzeka z bystrym nurtem i mulistym dnem - wyjaśnił. - Coś jeszcze?

Nie czekał nawet na odpowiedź i szybkim krokiem skierował się w stronę aresztu. Z cienia wyszło dwóch innych mężczyzn (jak mogłem ich wcześniej nie dostrzec?!) i ruszyło za nim. Również byli ubrani w czarne kaftany oraz czarne płaszcze. Czy byli inkwizytorami? Nie widziałem na materii srebrnego, połamanego krzyża - znaku naszej profesji. No ale przecież i ja nieczęsto zakładałem oficjalny strój funkcjonariusza Świętego Officjum.

Mogłem być pewien jednego. W klasztorze Amszilas świątobliwi mnisi wycisną z Griffa Fragensteina każdą myśl i każdy strzęp wiedzy. Zamienią go w otwartą księgę ze stronicami wypełnionymi hymnami chwalcącymi Pana. Będzie umierał, wiedząc, że mroczna wiedza, którą studiował, pomoże Sługom Bożym w odnajdywaniu, poznawaniu i karaniu odstępców, takich jak on sam.

* * *

Minął tydzień, od kiedy przybyłem do Regenwalde. Tak więc nadszedł czas pożegnania. Zainkasowałem

wypłatę od wdzięcznego Mathiasa Klingbeila i przygotowałem się do podróży. Kiedy wyprowadzałem konia ze stajni, poczułem mdlący odór, jakby bijący z gnijącego ciała. Odwróciłem się i zobaczyłem człapiącego w moją stronę Zachariasza. Wyglądał przerażająco nie tylko z uwagi na fakt, że część twarzy miał porzniętą starymi bliznami (robota pięknej Pauliny), ale przede wszystkim na ogromną, pofałdowaną szramę, sięgającą od kącika oka po brodę i zniekształcającą cały policzek. Wiedziałem, że zawsze gdy go sobie przypomnę, będę pamiętał o kłębiących się w ranie larwach mięsożernych much, które wygryzały z jego ciała martwą tkankę. Niemniej byłem zdumiony, że tak szybko stanął na nogi. Poruszał się jeszcze z wyraźnym trudem, widać jednak było, że musiał mieć prawdziwie żelazny organizm,

- Co tam, chłopcze? - zagadnąłem.

- Pojadę z tobą - rzekł.

- Po co? Wzruszył ramionami.

- A po co mam tu zostać? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Przydam ci się...

Faktycznie, w Ravensburgu niewiele dobrego mogło spotkać Zachariasza.

- A ojciec?

- Zaszkożę mu tylko - burknął. - Niech lepiej ludzie o mnie zapomną. Poprosiłem go o dwa konie, trochę gotówki, szablę - klepnął się po biodrze - i ubranie.

To wszystko...

- Skoro tak? - Wzruszyłem ramionami. - Bądź przy bramie, kiedy zabiją na nieszpory.

I jak będziemy jechali, trzymaj się od zawietrznej, dodałem w myślach.

- Dziękuję, Mordimerze - rzekł, a w jego wzroku zobaczyłem szczerą wdzięczność. - Nie pożałujesz tego.

Wiatr zawiął w moją stronę i smród bijący od Klingbeila o mało nie sparaliżował mi nozdrzy. Cofnąłem się.

- Już żałuję - mruknąłem, lecz tak cicho, że na pewno nie dosłyszał moich słów.

epilog

- Witaj - powiedziałem, wchodząc do gabinetu -Heinricha Pommla.

Bez słowa wskazał mi krzesło.

- Narobiłeś nam kłopotów, Mordimerze - rzekł, nie siląc się nawet na wstępne uprzejmości.

- Odszukałem prawdę.
- Taaak, odszukałeś prawdę. I co dzięki temu zyskaliśmy?
- Co zyskaliśmy? Prawdę! Czy to mało? No, a poza tym tę małą gratyfikację. - Położyłem na stole opasy mieszek wypełniony złotem.

- Zabierz to - powiedział zmęczonym głosem. - Postanowiłem cię urlopować, Mordimerze, na czas nieokreślony. Postanowiłem też napisać list do Jego Ekscelencji, proszący, by raczył przyjąć cię w poczet inkwizytorów licencjonowanych w Hez-hezronie.

- Wyrzucasz mnie za to, że byłem zbyt przenikliwy, tak? Zbyt uczciwy?

- Nie wyrzucam cię. - Zważył w dłoniach mieszek i rzucił go na moje kolana. - To zaszczytny awans, Mordimerze. Poza tym sądzę, że dla nas obu będzie lepiej, jeśli odejdziesz.

- Czemu? - spytałem rozżalony. Odłożyłem sakiewkę z powrotem na blat. Była naprawdę ciężka.

- Gdyż to, co dla ciebie jest środkiem wiodącym do celu, dla innych ludzi już jest celem.

Milczałem przez chwilę.

- Miałem więc dogadać się z Griffem, czyż nie tak? Uwolnić Zachariasza, zainkasować nagrodę od jego ojca, po czym przyjąć pieniądze od Fragensteina w zamian za nieujawnianie rodowych tajemnic?

- Ty powiedziałaś, Mordimerze.

A więc Pommel chciał po prostu spokojnie wegetować. Oto był jego sposób na życie. Wasz uniżony sługa spowodował w tym życiu małe trzęsienie ziemi. Zapewne memu przełożonemu nie spodobała się rozmowa z ludźmi w czerni. Być może nie spodobała mu się również krążąca plotka, że hrabia Fragenstein utonął, gdyż naraził się Inkwizytorium. A Pommel widać miał nie tyle ambicje, aby być sumiennym inkwizytorem, wolał wkupić się w łaski miejscowej szlachty. Kto wie, może sam marzył, by kiedyś wystąpić o szlachecki glejt?

Wstałem z miejsca.

- Być może zapomniałeś, Heinrichu, że Bóg wszystko widzi - rzekłem. - Widzi i ocenia. Ocenia i szykuje karę.

- Pouczasz mnie? - Również wstał. Widziałem, jak jego twarz pokrywa się purpurą.

- Nigdy bym nie śmiał - odparłem.

- Lubilem cię - powiedział, wyraźnie akcentując głoski. - Lecz teraz sądzę, że możesz sprawić więcej kłopotów niż pożytku. W związku z tym wystosuję pismo żądające, by cofnięto ci uprawnienia inkwizytora.

Zmartwiałem, ale po chwili skłoniłem tylko głowę.

- *Albowiem On przechowa mnie w swym namiocie w dniu nieszczęścia, ukryje mnie w głębi swego przybytku, wydzwignie mnie na skałę* - wyszeptalem.

- Wyoń się już - rozkazał zmęczonym głosem.

- Jeszcze nie - odezwał się ktoś.

Gwałtownie się odwróciłem. W kącie komnaty siedział, wsparty na sękatym kiju, wychudzony człowieczek w brudnoszarej kapocie. Jakim cudem udało mu się niezauważenie wejść do Inkwizytorium? Ba, jakim cudem udało mu się wejść do tego pokoju i podsłuchać naszą rozmowę?

- Dobry bracie, nic z tego, co tu się dzieje, nie dotyczy ciebie. Chodź, każe ci podać obiad, a potem, przed dalszą podróżą, napełnimy twój worek mięsem, serem i chlebem.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Piękne dzięki, Mordimerze, lecz ja nie żywię się niczym poza Światłem.

Kiedy usłyszałem te słowa, chciałem spytać, czy nie odłonić mu w takim razie okiennic albo nie zapalić świeczek, lecz na szczęście nie zdążyłem tego powiedzieć. Heinrich Pommel padł na kolana i huknął łbem tak mocno w podłogowe deski, że zastanawiałem się, czy nie przebije dziury do piwnicy.

- Mój panie - zawołał - czym zasłużyłem sobie na ten zaszczyt?!

- Ty sobie nie zasłużyłeś - odparł człowiek w szarej kapocie.

Potem wstał i zbliżył się do waszego uniżonego sługi, który obserwował wszystko co najmniej zbaraniałym spojrzeniem. Położył mi dłoń na ramieniu, a ja ugiąłem się pod jej ciężarem. Teraz ten, którego wzięłem za żebraka, nie wydawał się już ani tak niski, ani tak cherlawy jak poprzednio. Nawet nędzna kapota zamieniła się w śnieżnobiały płaszcz. Jego włosy zdawały się migotać czystym złotem.

- Mordimerze - powiedział - mój drogi Mordimerze... Naprawdę nie wiesz, kim jestem?

Nieopatrznie spojrzałem w jego oczy i zatonałem w labiryntach szaleństwa, które w nich pulsowały. Nie byłbym już w stanie oderwać wzroku własnymi siłami, lecz uderzył mnie w policzek. Wyrwałem się z matni i zatoczyłem pod ścianę.

- Nie chcę cię przerażać, mój chłopcze - rzekł, a w jego głosie wyczułem nutę smutku.

- Kim jesteś? - zapytałem, dziwiąc się, jak spokojny mam głos. Byłem zdumiony, gdyż pomimo że teraz czułem emanującą z niego niezwykłą moc, nie rozpoznawałem żadnych oznak zwykle towarzyszących zjawieniu się potężnych demonów. - Pamiętaj, że śmiało mogę wspomnieć słowa Pana: *Nie lękaj się, bo Ja jestem z tobą; nie trwóż się, bom Ja twoim Bogiem. Umacniam cię, jeszcze i wspomagam, podtrzymuję cię moją prawicą sprawiedliwą.*

Gdybym mógł, wyszarpnąłbym miecz z pochwy, ile nie miałem nic poza sztyletem ukrytym w cholewie buta. Wyciągnąłem go więc, zdając sobie sprawę, jak śmiesznie wygląda ten gest. Lecz nie o oręż przecież chodziło, a o siłę wiary, która poprowadzi ostrze.

- *Nie złamie trzciny nadłamaniej, nie zagasi knota o nikłym płomyku. On niezachwianie przyniesie Prawo* - zawołałem.

- Pięknie powiedziane, Mordimerze - przyznał z uznaniem. - Tym piękniej, iż wierzysz, że jestem demonem.

- Masz czas równy trzem uderzeniom serca, by się opowiedzieć. Potem cię zabiję - zapowiedziałem spokojnie i stanowczo.

Tak spokojnie i tak stanowczo, by ukryć własne przerażenie. Przerażenie myszki grożącej lwu.

- Moje serce nigdy nie biło i nie byłbyś w stanie mnie unicestwić, nawet gdybym na to pozwolił...

- To Anioł! - wrzasnął Pommel, nie podnosząc głowy znad podłogi. - To Anioł! Ulituj się nade mną, miłosierny panie!

- Z tobą nie mam nic do gadania - burknął stojący obok mnie człowiek i nagle zauważyłem, jak usta Pommla znikają. Po chwili nie można było na jego twarzy dostrzec nic pomiędzy czubkiem nosa a podbródkiem poza gładką skórą.

- Naprawdę jesteś Aniołem? - zapytałem, cofając się o krok i kątem oka przyglądając Pommlowi który rozpaczliwie macał palcami w poszukiwaniu własnych ust, a oczy miał wybałuszone z przerażenia.

- Nie jestem zwykłym Aniołem, Mordimerze - odparł. - Jestem twoim Aniołem Stróżem. Jestem kagankiem, którym rozjaśnisz ciemność, jestem kroplą wody, która spadnie na twe spragnione usta, jestem podmu

chem wiatru wśród żaru pustyni, jestem zapowiedzią nadziei tam, gdzie zapomniano słowo „nadzieja”.

- Nagle jego postać urosła aż pod powałę. Zamknąłem oczy, gdyż blask poraził moje źrenice. - I jestem Sługą Bożym, Młotem na Czarownicy oraz Mieczem. Przeprowadzę cię wśród Łowców Dusz i ofiaruję życie pośród Czarnej Śmierci. Czy chcesz mnie objąć, Mordimerze?

- Nie - odparłem, wiedząc, że za chwilę jego gniew spadnie na moją głowę.

Wiedziałem, iż mam przed sobą demona, bo człowiek tak marnej konduity jak ja nie zasłużył sobie na Anioła Stróża. Próbował mnie zwieść, wbić w pychę, omamić...

- A więc nie mylono się co do ciebie - zagrzmiał spiszowym głosem. - Jesteś właśnie tym, kogo szukałem. Pójdź, moje dziecko. Teraz obejmę cię z prawdziwą miłością. Nie spłoniesz już w moim żarze...

Nie czekał nawet na pozwolenie. Jego ogromne, lśniące białą skrzydła otuliły mnie niczym pierzyna z gorącego śniegu. Mili moi, Mordimer Madderdin nie jest głupcem i wie, że śnieg nie może być gorący, gdyż zamienia się w wodę pod wpływem ciepła ludzkich dłoni. Cóż z tego jednak, skoro skrzydła Anioła wydawały się utworzone właśnie z rozpalonych śnieżnych płatków. Nie parzyły mnie, lecz wypełniały żarem moje serce, umysł oraz duszę.

Było to uczucie przerażające i przejmujące, a jednocześnie niosące pełną bólu słodycz. Zamknąłem oczy

i chyba długo trwałem w zadziwiającym transie, za-

nim otworzyłem je z powrotem. Obok mnie nikogo nie było. Ani człowieczka w szarej kapocie, ani Anioła ze

skrzydłami utkanyymi z rozpalonego puchu. Tylko na podłodze zostało białe pióro, ale i ono po chwili zasyczało, a potem zniknęło, pozostawiając jedynie wypalony ślad w drewnie.

Obróciłem się w stronę Pommla, by sprawdzić, co się z nim dzieje. Odzyskał już usta, siedział w rogu komnaty ze zdrtwiałą z przerażenia twarzą i palcami wodził po wargach. Spojrzał w moją stronę.

- Wyjedź stąd jak najszybciej, Mordimerze - powiedział, a w jego głosie wyczuwałem i strach, i złość. Może również nutę zazdrości? - Zabierz wszystkie pieniądze i wyjedź. Dam ci list polecający do biskupa, tylko zostaw nas w spokoju.

- Zrobię, jak sobie życzysz, Heinrichu. - Skinąłem głową. - Życzę ci szczęścia i dziękuję za wszystko.

Spojrzał nieco przytomniejszym wzrokiem. Westchnął i podniósł się z podłogi. Ciężko opadł na krzesło. Palcami lewej dłoni znowu powiódł po ustach, jakby sprawdzając, czy ma je na właściwym miejscu.

- Ja też życzę ci szczęścia, Mordimerze. Naprawdę. Mimo wszystko. - Wyczułem szczerość w jego głosie. - Lecz nie zaznasz go ani ty, ani ci, którzy będą mieli pecha, by znaleźć się na twej drodze...

- Czemuż to? - zachnąłem się.

Nie odpowiedział, tylko przeniósł wzrok na wypalony w drewnie ślad po anielskim piórze. Później spojrzał na mnie.

- *Biada nędznym istotom, gdy wchodzą pomiędzy ostrza potężnych szermierzy* - zacytował fragment sztuki.

- Ritter - rzuciłem machinalnie.

Tak, Heinz Ritter - odparł. - Czyż to nie genialny artysta?

Podszedłem do stołu i zgarnąłem tłusty mieszek z honorarium otrzymanym od Klingbeila.

- Wspaniały - zgodziłem się. - I moje życie również będzie wspaniałe. Kiedyś...

Spojrzał na mnie, teraz w tym wzroku dojrzałem współczucie.

- Niestety nie - rzekł. - Choćbyś pragnął tego najbardziej na świecie. Będziesz jak pożoga, Mordimerze. Spalisz wszystko, do czego się zbliżysz.

Pokiwałem głową, nie po to, by przyznać mu rację, lecz tylko by wiedział, że zrozumiałem jego słowa.

- Do widzenia, Heinrichu. - Otworzyłem drzwi.

- Żegnaj - odpowiedział.

